

MARYA DELORME.

WIKTORA HUGO

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH.

III.

TEATR WĘDROWNY.

AKT III.

(Rzecz dzieje się w zamku Nangis. Scena przedstawia park z czasów Henryka IVgo. W głębi widać zamek Nangis stary z nowymi przybudowaniami. Stary budynek z wieżami, a nowy jest wysokim domem z cegły, ze śpiczastym dachem. Wielka brama starego zamku ościągnięta czarnym sukniem i z maleka widać nad nią herby de Nangis i de Saverny).

SCENA PIERWSZA.

Pan de Laffemas, domowy strój magistratury ówczesnej. Margrabia de Saverny, przebrany za oficera pułku Andegawęńskiego, wąsy i bródka czarna; na oku plaster.

Laffemas.

Więc pan byłeś przytomny gdy się bili oni?

Saverny *(pokręcając wąsa)*.

Miałem honor być jego towarzyszem broni:
Zginął.

Laffemas.

Margrabia?...

Saverny.

Tak jest. Wcale długo nie żył.

Cios silny, którym w niego przeciwnik uderzył,
Przedarkł suknie, przez żebra znalazł drogę sobie;
Przeszył płuca i utkwiał dopiero w wątrobie,
W której krew się wyrabia, jak pan musisz wiedzieć:
Rana była okropna; trudno wypowiedzieć:

Laffemas.

Odrazu skonał?

Saverny.

Prawie. Męczarnia konania
Była krótka. Jak upadł, już był bez poznania;
Później spazm, a po spazmie okrutny tetanos,
Po nim opisthionos i, improstatonos.

Laffemas.

Do licha!

Saverny.

Choć to smutne, a jednak dowodzi,
Że krwi fala przez gardziel wcale nie przechodzi;
A Pecquet i doktorzy niewiele pojmują,
Chociaż ciągle bezkarnie biedne psy ćwierują.

Laffemas.

Szkoda, szkoda margrabi.

Saverny.

Cios poszedł w głębiny.

Laffemas.

Pan musisz być zapewne doktor medycyny?

Saverny.

Nie.

Laffemas.

Więc pan się jój uczył.

Saverny.

Czytałem, przypadkiem

W Arystotelu.

Laffemas.

Chyba! bo ze znawstwem rzadkiem
Opowiadasz.....

Saverny.

Mam serce z naturą złośliwą,
Lubię szkodzić i szkodzę z rozkoszą prawdziwą;
Lubię nawet zabijać, byleby z honorem;
To też chciałem być w wojsku, albo też doktorem.
I długo się wahałem i oręż schwyciłem:
Leki pewne, miecz szybki. Ba, kiedyś marzyłem
Być poetą, autorem, lub wodzić niedźwiedzie,
Ale zrzekłem się tego, myśląc o obiedzie,
Który lubię jeść co dzień.

Laffemas.

Musisz mieć naukę;
Pewno i rymotwórczą uprawiałeś sztukę?

Saverny.

Tak: w Arystotelesie.

Laffemas.

I margrabia zbliża

Był ci znany?

Saverny.

Ja jestem żołnierz bez nazwiska;
Gdy on był porucznikiem, ja kapralem byłem.

Laffemas.

Tak?

Saverny.

Pod panem de Caussade najpierw służyłem,
On mię do margrabiego oddał pułkownika;
Dar nie arcy; lecz z tamtąd szczęście me wynika:
Zostałem oficerem. Mężne serca bicie,
Wąs czarny, szpada ostra: oto moje życie.

Laffemas.

Wujowi wieść przywiozłeś o śmierci siostrzana?

Saverny.

Jak osoba do pana Brichanteau dodana;
Wzięliśmy trumnę z ciałem w obszernej karecie,
Aby w grobach rodzinnych pochować go przecie.

Laffemas.

I jakże stary Nangis przyjął wieść straszliwą?

Saverny.

Milcząco, lecz z pokorą chrześcijańską, prawdziwą.

Laffemas.

Bardzo kochał siostrzana.

Saverny.

Jak się kocha życie.

Bezdzietny: on był jemu jak rodzone dziecko;
W nim złożył swoją miłość i nadzieje dumne:
Pięć lat go nie oglądał, dziś ma tylko trumnę.

(W głębi sceny przechodzi margrabia de Nangis. Włosy białe, twarz blada, ręce skrzyżowane na piersiach. Ubiór z czasów Henryka IVgo; gruba żałoba. Na piersiach order św. Ducha. Idzie powoli przez scenę. Dziewięciu ludzi przybocznej straży, okrytych żałobą, z halabardami na prawem a muszkietami na lewem ramieniu, postępują za nim uszykowani we trzy rzędy).

Laffemas (*patrząc na niego*).

Biedny człowiek!

(*Idzie w głąb sceny i patrzy za margrabią*).

Saverny (*na stronie*).

Wuj drogi!

(*Wchodzi p. de Brichanteau*).

SCENA DRUGA.

Ciż sami i p. de BRICHANTEAU.

Brichanteau (*szcicha do p. de Saverny*).

Djabeł pozna chyba.

(*Śmiejąc się*).

Lecz od kiedy umarłeś, zdrów jesteś jak ryba.

Saverny (*szcicha, p. kazując margrabię de Nangis*).

Patrz na niego, Brichanteau. Ach! na co mój drogi,

Zmusiłeś mię starcowi zadać ten cios srogi?

A gdyby mu się przyznać?

Brichanteau.

Myśl dość nieszczęśliwa.

Boleść jego koniecznie winna być prawdziwa.

Niechaj wszyscy łyzy widzą, niechaj słyszą łkania:

Ta żałoba należy do twego przebrania.

Saverny.

Żal mi starca.

Brichanteau.

Ba! wkrótce żywym się popieści.

Saverny.

Skonać może z radości, gdy nie zmarł z bolesti:

Nagłych przejść nie wytrzyma.

•Brichanteau.

Trzeba, mój kochany.

Saverny.

Ten uśmiech taki gorzki, ten wzrok opłakany,

Ciężą na mojem sercu, które żalem pała,

Gdy on trumnę całuje.

Brichanteau.

Ba! trumnę, bez ciała.

Saverny.

Lecz on mnie skrwawionego w duszy swojej mieści,

I tam to trup mój leży.

Laffemas (*powracając*).

Tak ciężkiej boleści

Rzadko widzieć. W spojrzaniu łaż krwawa się żarzy.

Brichanteau (*do p. de Saverny*).

Kto jest ten człowiek czarny, o nikczemnej twarzy?

Saverny (*z oznaką nieświadoomości*).

Nie wiem. Przyjaciół domu.

Brichanteau.

Al to czarność kruka,

A kruk zawsze przy trupie czegoś sobie szuka.

Tembardziej bądź ostrożny! twarz ciężko haniebna

Fałszem świeci; tém więcej przezorność potrzebna.

(*Wchodzi margrabia de Nangis, zawsze pogrążony w smutku.*

Zbliża się powoli nie patrząc na obecnych i usiada na ławce z darni, na przodzie sceny.

SCENA TRZECIA.

Ciż sami. MARGRABIA DE NANGIS.

Laffemas (*zbliżając się do niego*).

Ach! tak, panie margrabio, straciliśmy wiele.

Mogłeś z siostrzeńca tego oczekiwać śmieje

Pociechy w swój starość. Podzielał łyż pana,

Młody, piękny, natura ze wszystkich wybrana;

Rozsądny w swój rozmowie; z piękną pcią ostrożny,

Sprawiedliwy w swych czynach; skromny i nabożny,

Mężny; każdy powiada o nim dobre słowo:

Tak skończyć!

(*Margrabia de Nangis, milcząc, opuszcza głowę na piersi*).

Saverny (*z cicha do p. de Brichanteau*).

Bierz go djabli z pogrzebową mową!

Chwaląc mię wiedzie starca do większej rozpacz,

Ty, aby żal odwrócić, mów o mnie inaczej.

Brichanteau (*do p. de Laffemas*).

Sądzę, że pan się mylisz. Byliśmy z Savernym

W jednej randze. Kolegą dosyć był mizernym,

Łotr wielki i zepsuty do ostateczności;

Mężny, prawda, lecz mężnym każdy jest w młodości.

Skończył nie chlubnie, trudna jest pochwała wszelka.

Laffemas.

Pojedynek! cóż z tego? i zbrodnia nie wielka!

(*Z dobrym uśmiechem pokazując na szpadę p. de Brichanteau*).

Wszak pan jesteś wojskowy?

Brichanteau.

(Tym samym tonem, pokazując na szpadę p. de Laffemas).
A pan sędowniczy?

Saverny *(cicho)*.

Mów więcéj.

Brichanteau.

Był niewdzięczny i pełen goryczy;
Kłamca, dziwak. A jeśli i bywał w kościele
To dla pięknych twarzyczek, których znał za wiele;
Bo fircyk był nie lada, a rozpustnik sprośny.

Saverny *(cicho)*.

Dobrze.

Brichanteau.

A dla zwierzchników niekarny, niezośny.
Co zaś do przystojności, stracił ją w tym roku;
Kulał i obrzydliwą miał skałkę na oku;
Z blondyna stał się rudym i prawie garbatym
Z pochyłego.

Saverny *(cicho)*.

Już dosyć

Brichanteau.

A grał z całym światem.
Zdolny był duszę przegrać kiedy trzymał koście;
Brelan byłby pochłonał wszystkie jego włości.
Gotów był grać ze zbójcą, ze złodziejem, z biesem....

Saverny *(cicho, powstrzymując go)*.

Ależ dość! Żal wujowski wyniszczysz z kreteśem.

Laffemas *(do p. de Brichanteau)*.

Tak źle mówić o zmarłym, wyznam panu szczerze...

Brichanteau *(pokazując na p. de Saverny)*.

Niech pan jego zapyta.

Saverny.

Ja, milczę w tej mierze.

Laffemas *(z troskliwością do p. de Nangis)*.

O! wiem, że niepodobna pocieszyć jest pana;
Lecz powiesim przynajmniej mordercę siostrzana.
Mamy go w naszym ręku: stryczek go nie minie.

(Do pp. de Brichanteau i de Saverny).

Tu panu Savernemu dziwię się jedynie,
Wiem, że trudno uchylić jest skutki obrazy,
Ale jakimuś Didier stawać na rozkazy?...

Saverny *(na stronie).*

Co? Didier!

(Stary margrabia, który przez całą tę scenę był milczący i nieruchomy, wstaje i oddala się w stronę przeciwną tej z której przyszedł. Straż idzie za nim).

Laffemas.

(Ocierając łzę i patrząc za p. de Nangis).

Jak ta postać biedna i stroskana!

Służący *(zamkowy, nadbiega do p. de Nangis).*

Jaśnie wielmożny panie...

Brichanteau *(zatrzymując go).*

Nie nudź swego pana.

Służący.

Ale to dla pogrzebu; muszę wiedzieć przecie,
Naznaczoną godzinę.

Brichanteau.

Później się dowiedzie.

Służący.

A jeszcze, komedyanci z miasta tu przybyli:
Proszą o nocleg w zamku.

Brichanteau.

W złyj jawią się chwili,
Gdy w zamku każdy smutkiem i żalem przejęty.
Ale gościnność także, obowiązek święty.

(Ukazując drewniany budynek na lewo).

Umieść ich w tym budynku.

Służący *(dostając list).*

List pilny ogromnie

(czytając)

Panu de Laffemas.

Laffemas.

A! daj tu: to do mnie.

(Służący oddaje list i odchodzi).

Brichanteau *(szcicha do p. de Saverny).*

Teraz, twoim pogrzebem zajmiemy się może?

(Ciągając go za rękaw).

Cóżże tak się zamyślił?

Saverny *(na stronie).*

To był Didier, Boże!

(Wychodząc).

SCENA CZWARTA.

LAFFEMAS, sam.

Laffemas.

Pieczęć koronną widzę. Rzecz pewno tajemna.
Otwórzmy i czytamy.

(Czyta).

„Panie sędzio kryminalny, zawiadomiony niniejszem jesteś,
iż Didier, zabójca ś. p. margrabiego Gaspara de Saverny, uciekł
z więzienia”.....

(Przerywając czytanie).

To sprawa przyjemna!

„Jak powiadają, kobieta nazywająca się Maryą Delorme,
towarzyszy mu w ucieczce. Wracaj więc jak najspieszniej”.

Koni! koni! myślałem że go w ręku trzymam!

Dobrze. Znowu nowa sprawa, w której szczęścia nie mam.

Jeden zmarł, drugi uciekł! to Boże skarangie!

Ale ja go wyszukam!

(Wychodzi. Wchodzi trupa komedyantów wędrownych; mężczyźni,
kobiety, dzieci, w ubiorach scenicznych. Między nimi Marya i Di-
dier w hiszpańskim stroju. Didier ma na głowie wielki kapelusz
i owinięty jest płaszczem).

SCENA PIĄTA.

AKTOROWIE, MARYA i DIDIER.

Służący (prowadząc aktorów do budynku).

To wasze mieszkanie.

Jesteście w zamku Nangis. Używajcie wczasu;
Lecz zachowajcie skromność, nie róbcie hałasu;
Bo w tym rodzie okropne nieszczęście się stało,
Margrabia Gaspar zginął; w zamku leży ciało:
Jutro zapewne pogrzeb. Zwłaszcza przestrzedz muszę,
Nie śpiewać; gdyż tam śpiewy są za jego duszę.

Miluchny (mały i garbaty).

Mniej zrobimy hałasu niżli wasza psiarnia,
Która wyje i szczeka, że aż strach ogarnia.

Służący.

Ależ psy, nie aktorzy; psiarnia to nie szatry.

Taillebras (*do Miluchneg.*).

Milczcie, bo nas wypędzą ztąd na cztery wiatry.
(*Służący odchodzi.*)

Scaramouche.

(*Do Maryi i do Didiego, którzy dotychczas stali na uboczu*)
A teraz pogadajmy, jesteście już z nami.
Czego panicz z panienką wędrował lasami?
Czy bawicie się w męża, lub tylko w amanta?
Czyście z biegli z policyi, czy od nekromanta,
Który panią w niewoli zatrzymywał srodze?
To nie należy do mnie i ja w to nie wchodzę.
Lecz jakie role dać wam, rozmyślam głęboko:
Słuchaj, będziesz Ksymentą; bo masz czarne oko.

(*Marya kłania mu się*)

Didier, (*oburzony na stronie*).

Widzieć, jak ją traktuje ten skoczek beczelny!

Scaramouche (*do Didiego*).

Ty zaś, braknie nam właśnie, będzie z ciebie dzielny
Junak. Trzeba mieć nogi, jak cyrkiel otwarty;
Chodzić wielkimi krokami; głos ma być zażarty;
Porwać żonę Orgona; straszne mieć spojrzenia;
Nareszcie zabić Maura w końcu przedstawienia.
Jestto rola tragiczna: jak ułał dla ciebie.

Didier.

Jak się panu podoba.

Scaramouche.

Mówmy ty do siebie:

Pan,— jest ubliżająco.

(*Z wielkim ukłonem*).

Witam, bohaterze!

(*Do innych aktorów*).

Każdy niech się do miski i do roli bierze.

(*Wchodzą wszyscy do naznaczonego dla nich budynku, oprócz
Maryi i Didiego*).

SCENA SZÓSTA.

MARYA, DIDIER, później MILUCHNY, pan de SAVERNY,
nakoniec pan de LAFFEMAS.

Didier (*po długim milczeniu, gorzko*).

Maryo! cóż? dość potworne jest losu igrzysko?
I ty—biedna—przezemnie dość upadłaś nisko!

Chciałaś mi towarzyszyć? dola ma, niestety,
W nędzę własną straciła dni twoje—kobiety!
Gdzież jesteście? i jakie wokoło nas męty?

Marya

(drżąc i składając ręce, jak do modlitwy).

Didier, czy to wymówka!

Didier.

Niech będę przeklęty,
Od Boga i od ludzi, w tém życiu i w grobie,
Srożej niż był ktokolwiek, niżli my w téj dobie,
Jeśli to moje serce, gdzie bez ciebie ciemno,
Stanie kiedy przed tobą z wymówką nikczemną!
Gdy wszystko mnie uderza, odpycha, potrąca,
Ty, jedna mi ratunkiem żałosna, kojąca!
Kto straż zmylił? kto przyszedł i zdjął mi kajdany?
Kto z nieba spłynął ku mnie, w mój byt oplakany?
Kto z więzieniem zstąpił w czarne lochowe więzienie?
Kto ze zbiegiem podzielił tułaczę istnienie?
Kto miał to serce wielkie, co Boga obrazem,
Które zbawia, umacnia i pociesza razem?
Ty mię jedna wyrwałaś z przeznaczenia doli,
Ty, bezsilna niewiasta, wszechmocą twój woli!
Litosna, gdy mnie ziemia prześladowe cała,
Mnie—znienawidzonego—tyś jedna kochała!

Marya *(płacząc).*

Didier! dla mego szczęścia, kochać ciebie muszę!

Didier.

O! niechaj te łzy twoje uświęcą mi duszę!
Bóg dał na towarzyszy moich dni po ziemi
Szatana i anioła: idę między niemi.
Lecz myśl moja o niebie z zachwyceniem roi;
Bo szatan niewidzialny, a anioł tu stoi!

Marya.

Ty jesteś moim panem i zawsze i wszędzie.

Didier.

Mężem? prawda.

Marya *(nā stronie).*

Niestety!

Didier.

Jakie szczęście będzie,
Ziemie tę nieprzyjazną rzucić, nasrożoną,
Wziąć ciebie i nazywać swoją — panią — żoną!
Prawda: przystajesz na to?

Marya.

Ty mi będziesz bratem,

Ja ci siostrą.

Didier.

Nie, luba! mieć ciebie przed światem,
Przed Bogiem, ziemią, niebem, przyznaną i własną!
Odmową nie mrocz duszy, kiedy tak w niej jasno!
Możesz iść przy mym boku, spokojna we wierze;
Bo kochanek dla męża ciebie świętą strzeże.

Marya (*na stronie*).

Biada mi!

Didier.

Serce drgało rozżaleniem nowém;
Kiedy ten niecny skoczek dotykał cię słowem!
O! ciężkie me godziny; i jak cierpię wiele!
Widzieć, pośród tych brudów, ciebie mój aniele;
Ciebie, duch świeży, czysty, boży i niewieści,
Pośród kobiet bez sromu i mężczyzn bez cześci!

Marya.

Mój drogi, bądź ostrożny!

Didier.

Gniew złamałem w sobie;
Ten człowiek: *ty*, powiedział, i powiedział tobie!
Gdy ja, mówiąc tak, własnej lękam się śmiałości;
By nie zwać z twego czoła promyka czystości!

Marya.

Trzeba być z nimi w zgodzie; o twoje życie chodzi
I o moje.

Didier.

Twoje słowo wszystko rozpozgodził
Ach! chociaż losów moich tak ciężka zawiałość,
Ty mi dajesz twą młodość, twą piękność, twą miłość!
Królby ich nie okupił swém królestwem całym,
Więc, za jakież to cnoty ona, mym udziałem?
A ja ci za nic daję nędzę, byt stroskany;
Ciebie—niebo mi zsyła, mnie—tobie, szatany!
Aby na to zasłużyć i jedna, i drugi:
Jakież są twoje winy, jakie me zasługi?

Marya.

O! za me szczęście, luby, dziękuję ci rzewnie.

Didier (*inowu pochmurzony*).

Ha! jeżeli tak mówisz, to i myślisz pewnie.
Ale ostrzegam ciebie: ja cię w ból pogrążę,

Bo nie wiem zkąd przyszedłem, nie wiem dokąd dążę.
 Niebo moje jest czarne. Maryo! błagam ciebie:
 Czas jeszcze; zwróć się na wstecz; ocal, biedna, siebie;
 Pozwól mi, niech sam idę w mój byt zatracony;
 Bo po krwawej wędrówce, gdy spoczne strudzony,
 To zimne lodu zimnem, czeka na mnie łożo,
 Wązkie i dwóch ciał w sobie pomieścić nie może.
 Odejdź więc!

Marya.

Nie! ja pragnę, po ciężkiem istnieniu
 Choć te podzielić z tobą—choć te, w grobów cieniu.

Didier.

Czegóż chcesz! O nieszczęsna? twoje przywiązanie
 Wiedzie cię do rozpacz, w nędzę, na wygnanie,
 I zostawi w tak długiej nieszczęścia zamrocz,
 Że w gorzkich łzach zagasną twoje lube oczy!

(Marya chowa twarz w dłonie).

Że ci tu prawdę mówię, przysięgam na Boga!
 Dla ciebie—moja litość, o ciebie—ma trwoga;
 Odejdź luba!

Marya *(wybuchając płaczem).*

O! zabij!—to okropne chwile!
 Wielki Boże! miej litość!

Didier *(biorąc ją w objęcia).*

Aniele! też tyle!

Za każdą oddam życie, a wszystkie mię bolą!
 Rób co chcesz; zostań przy mnie; stań się moją dola,
 Mą cnotą, mojem dobrem, mą nadzieją w niebie!
 Maryo! przemów! posłuchaj! ja mówię do ciebie!

(Sadza ją ostrożnie na ławce ogrodowej).

Marya *(usuwając się z jego objęć).*

Okropnieś mnie zasmucił.

Didier *(klęcząc pochylony nad jej rękami).*

Ty—cała ma troska!

Marya *(uśmiechając się przez łzy).*

Zmusił do łez,—niedobry.

Didier.

Ty cudna! ty boska!

(Siada przy niej na ławce).

Schyl czoło, pocałuj.

(Całuje ją w czoło. Oboje siedząc, patrzą na siebie w upojeniu).

Dziecię me łaskawsze.

Spojrż Maryo—o! tak, jeszcze i ciągle i zawsze!

Miluchny (*wchodząc*).

Done Ksymenę wzywa nasze zgromadzenie.
(*Marya zrywa się. Jednocześnie z Miluchnym wchodzi p. de Saverny i zatrzymuje się w głębi sceny, spoglądając bacznie na Maryę, a nie widząc Didiego, który zakryty jest krzakiem i pozostaje na ławce*).

Saverny (*w głębi niewidzialny na stronie*).

To—Marya! na honor! dziwne wydarzenie.

(*Śmiejąc się*).

Ksymena!...

Miluchny (*do Didiego, który chce iść z Maryą*).

A pan zostań; wyrzecz się zazdrości:
Muszę cię podrażnić.

Didier.

Słuchaj ty....

Marya (*z cicha uspokajając*).

Z litości!

(*Didier usiada na ławce, Marya wchodzi do budynku aktorów*).

Saverny (*w głębi na stronie*).

Za kim lata po świecie, przebrana i skrycie?

A! ten Didier, co wtedy ocalił mi życie?

On jakim sposobem mógł ją zbałamucić?

(*Wchodzi Laffemas*).

Laffemas (*po podróznemu*).

Spieszę, pożegnać pana....

Saverny (*kłaniając się*).

Chce pan nas porzucić?

(*Śmieje się*).

Laffemas.

Pilno mi. A! pan śmiechem zagna moją drogę.

Saverny (*śmiejąc się*).

Nie! lecz śmieszna historia, powiedzieć ją mogę.

Między komedyantami, co tutaj przybyli,

Zgadnij pan, kogom poznał tu, teraz, w tej chwili?

Laffemas.

Między komedyantami?

Saverny.

Tak.

(*Śmiejąc się głośno*).

Śliczną Marysię!

Laffemas (*ciekawie*).

Maryą Delorme?

Didier (*który od niejakiego czasu patrzył na nich*).

Co?

(*Podnosi się z ławki*).

Saverny (*zawsze ze śmiechem*).

Tak. Aż w oczach ćmi się.

Napiszę do Paryża. Pan w Paryżu będzie?

Laffemas.

Tam jadę; mogę panu usłużyć w tym względzie:
Lecz czy tylko pan pewny?

Saverny.

Czym pewny? mój Boże!

Przecież naszą Marysię znamy trochę może!

(*Szukając w kieszeni*).

Mam jój portret,—zadatek to czułej miłości;

Robił go malarz własny króla jegomości.

(*Daje p. de Laffemas medalion*).

Porównaj pan.

(*Pokazując otwarte drzwi budynku*).

Ją widać—brama otworzona.

O, ta—w hiszpańskim stroju... spodniczka zielona...

Laffemas (*porównywając*).

Ona!—Marya Delorme!...

(*Na stronie*).

I zbieg mój w téj stronie?

(*Do p. de Saverny*).

Musi mieć towarzysza w tém szanowném gronie?

Saverny.

Choć nie wiem, lecz przysięgnę.

Stworzenie nie srogie;

Samotnéj przykro było tak puszczać się w drogę.

Laffemas (*na stronie*).

Trzeba osadzić wyjścia. A nadejdzie pora,

Że poznam fałszywego pośród nich aktora.

Mam go!

(*Odchodzi*).

Saverny.

(*który patrzył na p. de Laffemas*).

A! zmalowałem głupstwo ile mi się zdaje.

Ba!

(*Bierze na stronę Miluchnego, który dotychczas w kącie powtarzał jakąś rolę*).

Kto to jest—ta pani—ta, co w bramie stoi!

(*pokazuje mu bramę budynku*).

Miluchny.

Ksymena?

(deklamując).
 Cny rycerzu nie wiem jój nazwiska.
(pokazując na Didiego).
 Pomów z tym trubadurem, on znany jój z bliska.
(oddala się do ogrodu).

SCENA SIÓDMA.

DIDIER, SAVERNY.

Saverny, *(na stronie).*

Z tym panem?

Al' wzrok jaki, jak sztylet przenika;
 To on! on sam: poznaję mego przeciwnika.
(do Didiego).

To taka twa mina....

Gdyby nie był w więzieniu.

Didier.

Gdyby tamten nie zginął, pan tak przypomina
 Człeka, który miał ze mną niemiłą rozmowę.
 I... niechaj mi krew jego nie spada na głowę....

Saverny.

Ciszéj.... ty jesteś Didier?.

Didier.

A pan, de Saverny?

Saverny.

Więc pan mi usunąłś ów kłopot niezmierny,
 W noc ową? dałś życie....

(Zbliża się z otwartemi ramionami, Didier się usuwa).

Didier.

Przepraszam: myślałem,
 Że ci je najserdeczniej później odebrałem.

Saverny.

Nietylkoś mnie nie zabił, lecz zbawił od kata.
 Teraz gdy ci potrzeba przyjaciela,—brata,—
 Masz go! żądaj odemnie życia—krwi—boleści...

Didier.

Nie, margrabio; lecz daj mi ten portret niewieści.
(p. de Saverny daje mu portret Maryi, on wpatruje się z gorzkim uśmiechem).

Tak, to jój czarne oko i wyraz nadobny,
 Szczery, niewinnéj twarzy; o! bardzo podobny.

Saverny.

Prawda?

Didier.

Więc to dla pana malować kazała
Ten portret?

Saverny (*potakuje gestem i kłania się*).

Teraz, pana kocha i wybrała
Wśród tylu rozgorzałych w miłości płomienie.
Szczęśliwyś!

Didier (*z rozpaczliwym śmiechem*).

O! to prawda:—szczęśliwy szalenie!

Saverny.

Winszuję panu szczerze. Dobre to stworzenie,
Dla niej w kochanku znaczy wiele, urodzenie.
Nikt się nie upośledzi, biorąc tę dziewczynę,
Nawet zaszczytnie dosyć i dobrą ma minę,
Z resztą modnie. I tytuł pożądaný wcale:
Amant Marysi Delorme. To brzmi doskonale!
(*Didier chce mu zwrócić portret, on odmawia*).
Nie, niech zostanie panu. Należy mu prawnie,
Gdy masz już oryginał.

Didier (*chowając w zanadrze portret*).

Dziękuję.

Saverny.

Zabawnie,
Ujrzeć Marysię Delorme, jakąś taką nową,
Więc pan po mnie nastąpił? choć tak daję słowo,
Jak król Ludwik następcą króla Faraona.
Po mnie, obaj Brisaki. A rzecz dowiedziona,
(*śmieje się*).
Że nawet i kardynał... Później d' Efia mały,
A po nim trzej Sę—Memy—i oryginały,
Czterech braci Arzento. Więc wygląda nieźle
Towarzystwo w jęj sercu ...

(*śmieje się*).

Za liczne....

Didier (*na stronie*).

Obmierźle!....

Saverny.

Opowiesz mi pan wszystko... Ja w tęg sprawę względzie
Uchodzę za zmarłego; jutro pogrzeb będzie.
A pana, ona pewno wywiodła z więzienia?
Straż zmylona; ucieczka pośród nocy cienia;
Ukrywanie się w lasach; trupa wędrująca:
Wszak tak? historia pewno bardzo zajmująca.

Didier.

Cała powieść.

Saverny.

Marysia strwożona i blada,
Strażnika bałamuci....

Didier (*gwałtownie*).

Przekleństwo! szkarada!

Saverny.

Ba! czyż byłbyś zazdrośny?

(*śmiejąc się*).

To byłoby śmiesznie.

O kogóż? o Marysię: prawdziwie pociesznie!

Nie zrób jój za to sceny; wszakże to jój stanem.

Didier.

Ani myślę.

(*na stronie*).

O! Boże! anioł był szatanem!...

(*Wchodzi Miluchny i p. de Laffemas, Didier się oddala, p. de Saverny za nim*).

SCENA ÓSMA.

LAFFEMAS, MILUCHNY.

Miluchny (*deklamując*).

Cny mężu, niepojęty, choć pełen słodyczy.

(*na stronie głosem naturalnym*).

Hum! łysio jak u zbira; ubiór sądowniczy!

Oczko małe, zakryte nawisłemi brwiami,

Czy nie rolę łapacza zamyśla grać z nami?

Laffemas (*dostając sakiewkę*).

Przyjacielu!

Miluchny.

(*zbliża się i naturalnym głosem zcicha*).

Ksymena w serduszku twém miga;

Chciałbyś wiedzieć....

Laffemas (*zcicha*).

Tak, chciałbym poznać jój Rodryga.

Miluchny.

Kochanka?

Laffemas.

Tak.

Miluchny.

Co dąży za jój szat szelestem?

Laffemas (*niecierpliwie*).

Jest tu?

Miluchny.

Jest.

Laffemas (*zbliżając się nagle*).

Pokaż mi go!

Miluchny (*deklamując*).

Drżyl! bo ja nim jestem!

Miłość moją szalona!

(*Laffemas zawiedziony oddala się, później znowu się zbliża do Miluchnego i brzęczy mu sakiewką nad uchem*).

Laffemas.

A znasz złota dźwięki!

Miluchny.

Ta muzyka rymuje we wierszach do:—*wdzięki*.

Laffemas (*na stronie*).

Mam zbiega!

(*głośno, pokazując sakiewkę*).

Sztuki złote.

Miluchny.

A ile wynoszą?

Laffemas.

Dwadzieścia luidorów.

Miluchny.

Hum!

Laffemas (*dzwoniąc mu pod nosem*).

Chcesz?

Miluchny (*chwytając woreczek*).

O! z rozkoszą!

(*deklamując*)

Sułtanie! gdybyś garb miał na chudym twym grzbiecie
Tak wielki, jako brzuch twój, rzecz potężna przecie,—
I napełnił je złotem, w dukatów postaci,
To wtedybym powiedział: czas traci, czas płaci;
Więc trzeba....

Laffemas (*nagłąc*).

Cóż więc trzeba?

Miluchny (*chowając sakiewkę do kieszeni*).

Wziąć ciężar nad siły,

I powiedzieć:

(*Kłaniając się nisko*).

Dziękuję, jesteś człowiek miły!

Laffemas (*na stronie z gniewem*).

Przekłeta brzydka mała!

Miluchny (*na stronie śmiejąc się*).

Stary kot spylony!

Laffemas (*na stronie*).

Widzę system ukrycia naprzód ułożony.

Znowu jasno jak słońce: zęby mają ścięte;

Milczeń będą, jak ryby: cygany przekłete!

(*Do Miluchnego który chce odchodzić*).

No! oddajże pieniądze!

Miluchny (*zatrzymując się tragicznie*).

Rycerzu zuchwały!

Więc za kogo mię bierzesz? co powie świat cały

Że mnie kusisz, bym sprzedał, niepomiń co cnota,

Czyjąś głowę nikczemnie, za kilka sztuk złota?

(*Chce odchodzić*).

Laffemas (*zatrzymując go*).

Dobrze, lecz zwróć pieniądze.

Miluchny (*deklamując*).

Honor mi zostawał

Rachunku chcieć odemnie, mężu, nie masz prawa!

(*klania się poważnie i odchodzi*).

SCENA DZIEWIĄTA.

LAFFEMAS sam.

Podły skoczek! Jak chętnie karku ci nadkręcę,

Gdy się kiedy dostaniesz w me sądowe ręce;

I gdyby nie na myśli trochę grubsze zwierze....

Jak odkryć mego zbiega? Co pocznę w tój mierze?

Czy z całej tój czeredy niewydobyć głosu

Torturą? niepodobna: zanadto rozgłosu.

Tak, jakbym szukał igły, wśród zboża na łanie.

Alchemii tygiel chyba, jeden byłby w stanie,

Topiąc i miedź i ołów, odkryć ziarno złota,

Które ukrywa w sobie ta brudna hołota.

Mamże z niczem powrócić tak do kardynała?—

(*Uderzając się w czoło*).

Ach! dobrze!... myśl wyborna... uda się rzecz cała....

Mam go!

(*Wołając przez bramę budynku aktorów*),

Panów artystów komicznych, tragicznych,

Proszę tu!

(*Aktorowie tłumnie wychodzą z budynku*).

SCENA DZIESIĄTA.

Ciż sami. AKTOROWIE; między nimi MARYA i DIDIER, później p. de SAVERNY, później margrabia de NANGIS; na końcu SŁUŻĄCY zamku.

Scaramouche (*de p. de Laffemas*).

Na rozkazy.

Laffemas.

Bez akademicznych

Zwrotów, rzecz w tém jest cała. Jego Eminencya

Książe kardynał, dając mi różne zajęcia

Polecił mi wyszukać, w téj mojej podróży

Artystów teatralnych z talentem, i którzy

Mogliby grać te sztuki, których jest autorem,

Bo na własnej swój trupie nie wyszedł z honorem.

(*Wszyscy aktorowie zbliżają się spiesźnie. Wchodzi p. de Saverny, i z boku przypatruje się téj scenie*).

Miluchny (*na stronie licząc pieniądze schwycone*).

Dwanaście! więc mnie okradł! prawdziwie to boli.

Laffemas.

Niechaj każdy mi powie część jaką swój roli,

Ażebym mógł osądzić i wybrać sumiennie.

(*Na stronie*).

W taką łapkę mój Didier wpadnie nieodmiennie.

(*Głośno*).

Wszyscy są?

(*Marya zbliża się ukradkiem do Didiego i chce go uprowadzić, Didier się usuwa i odtrąca jej rękę*).

Miluchny (*idąc do nich*).

Chodźcie bliżej.

Marya.

Ratunku, mój Boże!

(*Didier wchodzi pomiędzy aktorów; Marya za nim*).

Miluchny.

Prawda, że dobrze z nami? zawezwą was może;

Ubrani i nie głodni i praca wspinała,

Co wieczór mówić wiersze księcia kardynała!

Szczęście, los.

(Aktorowie stają rzędem przed p. de Laffemas. Między nimi Marya i Didier. Didier nie patrzy na Maryę; oczy spuścił ku ziemi; ręce skrzyżowane na piersiach. Marya zwrócona do kochanka, bada go niespokojnym wzrokiem).

Miluchny *(na czele trupy, na stronie).*

Ktoby odgadł, że ta postać kruka,
Z woli ministra, ludzi wesołych tu szuka.

Laffemas *(do Milu huego).*

Ty, kto jesteś? najpierwszy.

Miluchny *(z ukłonem i podskokiem).*

Ja Miluchny jestem.

W komedjach śpiewam zwykle z odpowiednim gestem.

(Śpiewa).

Magistratura cała,
To peruka wspaniała.
Z kudłatego włosiska
Wychodzą jak z mrowiska
Kajdany, stryczek, kara,
Gdy tylko się podniesie

Ta peruka, poczwara,
Co prezydentem zwie się.
Adwokat, deszcz ohydny
Słów, na sędziów łysiny,
I łoś jakis bezwstydną,
Zlęj prozy i łaciny.

Laffemas *(przerywając).*

Fałszujesz, w twojem gardle puszczyk się odzywa.

Miluchny.

Ton może i fałszywy, lecz piosnka prawdziwa

Laffemas *(do Scaramouche).*

A ty?

Scaramouche.

A ja, Scaramouche. I w następne słowa
Otwieram scenę w sztuce: „Dama honorowa”.

(Deklamując).

„Pięknym”, rzekła królowa hiszpańska spokojnie,
Jest biskup przy ołtarzu, a żandarm na wojnie;
Piękniejszą dama w łóżku, złodziej u pęgierza...”

(Laffemas przerywa mu gestem).

Laffemas *(do Taillebras).*

A ty?

Taillebras.

(kłania się nisko, później się wyprostowuje).

Ja jestem Taillebras; mnie grunt się powierza:
Teraz wracam z Tybetu; ukarałem hana....

Laffemas.

Co innego!

(Cicho do p. de Saverny, pokazując Maryę).

Marysia, precudna, kochana!

Taillebras.

To najlepsze. Lecz w rolach nie doznaję głodu;
Mogę być Karlomanem, cesarzem Zachodu.

(Deklamując z przesadą).

„Straszne losy! O! Niebo; wzywam twój wielkości,
Bądź świadkiem nieboskłonie, mój nieprzyjemności!
Muszę me własne dobro sam odebrać sobie,
Innemu oddać miłość, co jest mą w téj dobie!
Uposażę rywala kochanki istnieniem,
I struć sobie wnętrzności, tak wielkiem cierpieniem!
Tak ptaki nie dla siebie mają gniazdo w lesie;
Tak pszczoła nie dla siebie miody z pola niesie;
Tak owce nie dla siebie wełną się obłożą;
Tak woły nie dla siebie rolną skibę orzą....”

Laffemas.

Dość tego.

(Do p. de Saverny).

Śliczne wiersze! Garnier—to poeta.

To scena z *Bradamanty*.

(Obracając się do aktorów).

A teraz—kobieta;

Ty, miłuchna; twe imię?

Marya *(drżąc)*.

Ja jestem Ksymena.

Laffemas.

A! Rodryg twój kochanek,—to tragiczna scena,
Zabija w pojedynku....

Marya *(przestraszona)*.

Co?

Laffemas *(szyderczo)*.

Ja się nie mylę,

I ucieka...

Marya *(na stronie)*.

O Boże!

Laffemas.

A więc weź tę chwilę.

Marya

(Na pół obrócona do Didiego, deklamuje).

„Ponieważ życie, zdrowie, nigdy cię o! luby,
Nie wstrzymały od walki i od bojów chluby;
Błagam cię mój Rodrygu, mą miłością tkliwą,
Od don Sansza zapałów obroń nieszczęśliwą!”

Walcz, ażeby mię wyrwać z téj strasznej katuszy
 Co rzuca mię w objęcia ohydne dla duszy;
 I jeżeli ci droga mego serca cena,
 Zwycięż! bo dla zwycięzcy nagrodą—Ksymena”.
*(Laffemas powstaje i z grzecznością całuje jęj rękę. Marya blada
 spoziera na Didiego, który stoi nieruchomy ze spuszczonej oczami).*

Laffemas.

Prawdziwie chwile takie są bardzo przyjemne,
 Głos pani serca struny porusza tajemne:
 Cudowna jesteś pani.

(Do p. de Saverny).

Wątpliwości nie ma,
 Że Garnier nad Korneilem zawsze prym otrzyma;
 Lecz Korneil nabrął w rymach lepszej konsystencji,
 Odkąd ma zaszczyt służyć Jego Eminencji.

(Do Maryi).

Jaki talent? a oczy? to nie miejsce dla nięj:
 Jak mogłaś w téj holocie zagrzebać się pani?
 Niechże pani usiądzie.

(Siada sam i daje znak Maryi, aby koło niego usiadła.

Marya się cofa).

Marya *(do Didiego niepokojna).*

Ach! odejdz luby!

Laffemas *(uśmiechając się).*

Proszę, racz usiąść przy mnie.

*(Didier odpycha Maryą, która przerażona usuwa się na ławkę,
 przy p. de Laffemas).*

Marya *(na stronie).*

Czuję chwilę zguby!

Laffemas

(uśmiechając się do Maryi, z rymówką).

Przecie ..

(Do Didiego).

Twe imię?

*(Didier postępuje krok naprzód, rzuca płaszcz i naciska
 na głowę kapelusz).*

Didier *(poważnie).*

Didier.

Marya, Laffemas, Saverny.

Didier!!

(Ogólne zdumienie).

Didier

(do p. de Laffemas uśmiechającego się z tryumfem).

Teraz, może

Odprawisz już tych ludzi; dość oszustw, mój Boże!

Masz w ręku swoją zdobycz, stało ci się zadość;
Lecz cię wiele podłości kosztuje ta radość.

Marya (*biegnąc do niego*).

Mój Didier!...

Didier (*obojętnie*).

Już się stało—i już nie odstanie.

(*Marya ustępuje i upada z rozpaczą na ławkę*
(*do p. de Laffemas*).

Widziałem jakeś krążył koło mnie, szatanie!
I widziałem jak ku mnie twe błędne źrenice
Ciśkały z piekła duszy twojej—błyskawice!
Mogłem stargać te sidła, za które ci płacą;
Alem się ulitował nad twą podłą pracą:
Masz mię, niech ci nagroda w ręce się dostanie.

Laffemas

(*z ukrytym gniewem uśmiechając się*).

Więc komedyi grać dalej nie chcesz, mój panie?

Didier.

Ty ją grałeś nikczemny.

Laffemas.

O! ja źle ją grałem,
Lecz tworzymy tragedję z księciem kardynałem,
W której rola dla pana i scena gotowe.
(*Marya wydaje jęk boleści, Didier się odwraca*).
Naprawdę tak wzgardliwie odwracasz pan głowę;
Ja już do końca sztuki stać przy panu muszę.
Teraz rada ostatnia: poleć Bogu duszę.

Marya.

Ach!

(*W tej chwili margrabia de Nangis przechodzi scenę ze swoją strażą.*
Na krzyk Maryi zatrzymuje się i zwraca do obecnych blade, milczący,
nieruchomy).

Laffemas (*do p. de Nangis*).

Margrabio, szczęście trafem się wydarzy:
Nowina doskonała; dasz mi część swój straży,
Ten, który mord popełnił na twoim siostrzanie,
Uciek! lecz znów schwytany.

Marya

(*upadając na kolana przed p. de Laffemas*).

Miłosierdzia, panie!

Laffemas (*grzeecznie*).

To u twych stóp jest miejsce mych hołdów powinych.

Marya (*kłęcząc i błagając*).

O! sędzio ziemi prawa, miej litość dla innych,
Aby kiedyś ów Sędzia straszny i niezmierny
Co zstąpi z nieba, był ci miłosierny!...

Laffemas (*z uśmiechem*).

Wszak to istne kazanie? moja pani droga,
Świeć i króluj na balu; lecz na miłość Boga,
Nie chciej prawić morałów. Wiem, że wyrok srogi;
Lecz to było zabójstwo, morderstwo...

Didier (*gwałtownie podnosząc Maryę*).

Na nogi!

(*Marya drżąc powstaje*).

(*Do p. de Laffemas*).

Kłamiesz! to pojedynek.

Laffemas.

Panie...

Didier.

Kłamiesz! kłamiesz!

Laffemas.

Ciszej!

(*Do Maryi*).

Krew za krew, — prawo; a prawa nie złamiesz.
Zabił — i kogóż jeszcze? Margrabię Gaspara
De Saverny.

(*Pokazując na p. de Nangis*).

Patrz pani! ten starzec — jak mara!

Bo stracił syna prawie, — strata wielka także
Dla króla i dla Francyi. Jeśliby żył wszakże...
No... to jeszcze... nie mówię.. serce nie ze skały...
Lecz ten trup...

Saverny (*występując*).

Ten trup żyje — to ja. Zdrow i cały.

(*Ogólne zadziwienie*).

Laffemas.

Margrabia de Saverny — to cud nad cudami!
Tam trumna z jego ciałem.

Saverny

(*odejmując plaster i wasy i rzuca perukę*).

A on sam — przed wami.

Poznajecie mnie wszyscy.

Nangis

(*jakby ze snu zbudzony, wydaje okrzyk radości i rzuca się siostrzeńcowi
na szyję*).

Mój Gaspar, rodzony!

Me dziecię!

(Zostają we wzajemnym uścisku).

Marya *(padając na kolana).*

Dobry Boże! Didier ocalony!

Didier *(osięble do p. de Saverny).*

Na co? gdy chciałem śmierci?

Marya *(jak dawniej).*

O! Bóg strzedz go raczy!

Didier.

(nie zwracając na nią uwagi mówi dalej).

Czyliż byłby mię schwycił w swe sidła inaczej?

I czyż byłbym nie rozdarł wątlą pajęczynę

Jednym ruchem mój ręki? Lecz dobro jedyne,

Dla mnie: śmierć! Śmierci żądzę, śmierci mam pragnienie!

Ha! złeś się mi wypłacił za swe ocalenie.

Marya.

Co mówisz? Ty żyć musisz!

Laffemas.

Nol nie koniec rzeczy.

Że to Gaspar Saverny, czy tu nikt nie przeczy?

Marya.

Nikt.

Laffemas.

Jednak mi potrzeba stanowczej pewności!

Marya *(pokazując p. de Nangis).*

Spojrzyj pan jak ten starzec leje łzy radości.

Laffemas.

Więc to pan de Saverny, on sam; bez wątpienia?

Marya.

(ukazując uściski p. de Nangis i p. de Saverny).

Czyż można wątpić w obu tego uściśnienia?

Nangis *(odwracając się).*

Czy to on? ten mój Gaspar, krew, dusza ma, życie?

(Do Maryi).

Wszak pani, on się pytał, czy to moje dziecię?

Laffemas *(do p. de Nangis).*

Czy pan twierdzisz stanowczo, że to rzeczywisty
Margrabia de Saverny?

Nangis.

Tak!

Laffemas.

Więc dowód czysty.

(*Do p. de Saverny*).

Margrabio de Saverny, aresztuję pana:

Proszę szpadę!

(*Zdziwienie i przestрах ogólny*).

Nangis.

Mój synu!

Didier.

Znów głowa zyskana.

Teraz przed kardynałem sługa się nie spłoni,
Bo ma po jednej głowie w każdej swojej dłoni.

Nangis.

Zkąd prawo?..

Laffemas.

Edykt nowy wyraża w tym względzie:

„Każdy, żyw z pojedynku, ukarany będzie.”

(*Do p. de Saverny*).

Broń pańską!

Didier (*patrząc na p. de Saverny*).

O! szalony!

Saverny.

(*dobywa szpadę i podaje ją p. de Laffemas*).

Oto jest ma szpada.

Nangis (*zatrzymując go*).

Chwilę jedną. W tym zamku, nikt prócz mnie nie włada;

A praw co są w mém ręku nie zdaje nikomu:

Sam król, mógłby być tylko gościem w moim domu.

(*Do p. de Saverny*).

Twój oręż mnie masz oddać.

(*Pan de Saverny oddaje szpadę wujowi i ściska go*).

Laffemas.

Margrabio! już w kraju

Te prawa feodalne wyszły z obyczaju.

Krok twój dla kardynała będzie nieprzyjemny,

Lecz niechcąc ranić serca pańskiego....

Didier.

Nikczemny.

Laffemas (*z ukłonem*).

Zezwalam. Ale w zamian proszę uniżenie,

Bym miał na me rozkazy strażę i więzienie.

Nangis (*do straży swój*).

Wasi ojcowie, moim służyli we wierze:

Zabraniam na krok ruszyć!..

Laffemas (rozkazując).

Słuchajcie, żołnierze!

Jestem najwyższym sędzią w tajnym trybunale,
Naczelnik spraw gardłowych! nie żartujcie wcale.
Zaraz obydwóch wtrącić macie do więzienia;
U drzwi każdego po czterech ludzi niech się zmienia:
Odpowiadacie za nich. A jeśli się zdarzy,
Że który nieposłusznym być mi się poważy;
Nie spełni skinień moich, albo kto mię zdradza,
To widać, że mu głowa na karku zawadza.

(Straże przestraszone otaczają obydwóch więźniów. Margrabia de Nangis odwraca się z boleścią i ukrywa twarz w dłonie)

Marya (do p. de Laffemas).

Wszystko stracone, panie! gdy jakim pozorem.

Laffemas (szcicha do Maryi).

A! mam z tobą pogadać: przyjdź do mnie wieczorem.

Marya (na stronie).

Czego on chce odemnie? w śmiechu zdrada czarna;
To dusza bez litości, okropna, poczwarna.

(Rzuca się do Didiego).

Mój Didier!..

Didier (ozieble).

Żegnaj panią!

Marya (uderzona jego głosem).

Czyż to sprawiedliwie,

O, mój Boże? Ach! Nędzna!

(Upada na ławkę).

Didier.

Tak, nędzna, prawdziwie!

Saverny.

(Ucisnawszy p. de Nangis zwraca się do p. de Laffemas).

Czy podwoją ci płatę, gdy dajesz dwie głowy?

Służący zamkowy (wchodzi i do p. de Nangis).

Margrabiego Gaspara kondukt pogrzebowy
W pogotowiu i czeka na zamkowym ganku
Naznaczenia godziny.

Laffemas.

Za miesiąc, kochanku!

(Straż wyprowadza więźniów).



MARYA DELORME.

WIKTORA HUGO

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH.

IV.

KRÓL.

AKT IV.

(Rzecz dzieje się w pałacu królewskim w Chambord, Sala straży przy pokojach króla).

SCENA PIERWSZA.

Księżę de Bellegarde, w bogatym stroju ze wstęgą Świętego Ducha na szyi, a z gwiazdą u piersi. Margrabia de Nangis, w grubej żałobie, zawiesz ze swoją przyboczną strażą.

(Oba przychodzą z głębi sceny).

Bellegarde.

Więc skazany?

Nangis.

Skazany!

Bellegarde.

Ależ prawo łaski!

Co króla i koronę w święte stroi blaski!!
Król nie tylko nazwiskiem, ale sercem całym,
Syn Henryka Czwartego.

Nangis.

Z którym przelewałem

Krew wspólnie w tyłu bojach.

Bellegarde.

Bądźże więc spokojny.
Nie na ucztach i balach, lecz wśród długiej wojny,
Myśmy nie jedną szatę dla ojca zużyli,
Ze stali, nie z jedwabiu. Jak prośbę, w tej chwili,
Idź do syna i pokaż włos na głowie siwy
I zaklnij, jak kłął niegdyś nasz Henryk pocziwy!
Niech kardynał mu lepszą da racją w tym względzie!
Ale naprzód się ukryj.

(odmyka drzwi boczne).

Król zaraz przybędzie.
Muszę jednak cię ostrzedz, że tutaj przy dworze
Twoja suknia, margrabio, śmiech obudzić może.

Nangis.

Śmiech — na widok żałoby?

Bellegarde.

Dworacy — to błoto, —
Wszystko splamią. Wejdz tutaj. Postaram się o to,
Aby króla rozjątrzyć przeciw eminencyi;
Jak tylko tupną nogą, miejże to w pamięci:
Wchodź zaraz.

Nangis *(ściskając mu rękę).*

Bóg ci zapłać!

Bellegarde,

(do muszkietera, który trzyma straż przy małych złożonych drzwiach).

He! hrabio de Nera,

Co król robi?

Muszkieter.

Król teraz papiery przeziera....

(półgłosem)

Z jakimś czarnym człowiekiem.

Bellegarde, *(na stronie).*

Dobrześmy trafili!
Zapewne wyrok śmierci podpisał w tej chwili.

(do p. de Nangis, ściskając go za rękę).

Odwagi!

(wprowadza go do bocznego pokoju).

A tymczasem, spójrz, gdy masz ochotę,
Na sufit, Primaticzy ujrzysz tam robotę.

(oba wychodzą. Pokazuje się Marya w grubiej żałobie, wchodząc przez wielkie drzwi od wschodów).

SCENA DRUGA.

MARYA. STRAŻE.

Halabardnik.

Nie wolno, pani.

Marya (*idąc naprzód*).

Panie...

Halabardnik,
(*zastawiając halabardę drzwi*).

Ależ się nie wchodzi.

Marya, (*z pogardą*),

Więc tutaj na kobietę broń podnieść—uchodzi?
Gdzieindziej za...

Muszkietier,
(*śmiejąc się do Halabardnika*).

Masz tobie!

Marya (*do Halabardnika*).

Pan wejście me zwleka,
Kiedy książę de Bellegarde na mnie tutaj czeka.

Halabardnik,
(*usuwając halabardę. Na stronie*).

Ci wszyscy kobiecieciarze!...

Muszkietier.

Proszę panią,
(*wchodzi i idzie naprzód sceny śmiałym krokiem*).

Halabardnik,
(*na stronie, patrząc na nią*).

Jasno!

W starym księciu płomienie młodości nie gasną.
Dawniej byłyby karany, a dziś to uchodzi:
Schadzka w pałacu króla...

Muszkietier (*nagle do Halabardnika*),

Ciszej, ktoś nadchodzi.

(*Złoczone drzwi odmykają się. Wychodzi p. de Laffemas trzymając w ręku zwój papierów, przy którym na jedwabnych sznurkach wiszą czerwone pieczęcie*).

SCENA TRZECIA.

Ciż sami, i pan de LAFFEMAS.

(Oznaka zdumienia między Maryą i p. de Laffemas. Marya odwraca się ze zgrozą).

Laffemas,

(zbliża się powoli do Maryi z cicha).

Co pani tu porabiasz?

Marya.

A pan?

Laffemas,

(pokazując jej wyrok podpisany).

Ja—u celu.—

Marya,

(zakrywa twarz rękami).

Ach!

Laffemas, (na ucho Maryi).

Chcesz pani?...

(Marya drżąca patrzy mu w oczy. On zaś także utkwil spojrzenie w jej twarzy).

Chcesz luba?

Marya, (odtrącając go).

Precz idź! kusicielu!

Laffemas, (szydłczo).

Więc nie chcesz?

Marya.

Mnie nie straszy ten gniew twój szkaradny.
Król może zrobić łaskę, król tu pan wszechwładny!

Laffemas.

Spróbuj! próżna nadzieja serce twoje łechce,
(Odwraca się od niej, później nagle podchodzi, zakłada ręce nakrzyż i nachyla się nad nią).

Lecz strzeż się! dzień przyjść może, gdy już ja nie zechcę!
(Wychodzi. Książę de Bellegarde wchodzi).

SCENA CZWARTA.

Ciż sami. Książę de BELLEGARDE.

Marya.

Mości książę, zarządzasz strażą pałacową...

Bellegarde.

To ty, miluchna!

(kłania się)

Czego żądasz tu, królowo?

Marya.

Widzieć króla.

Bellegarde.

A kiedy?

Marya.

Natychmiast.

Bellegarde.

Rozkaż:—krótka sprawa.

Marya.

Mam interes.

Bellegarde *(wybuchając śmiechem)*.

A zatem, niech król przed nią stawą?

Paradna!—

Marya.

Czy odmowa?

Bellegarde.

Wszystko dla cię zrobię.

(uśmiechając się).

Wszak nie odmawialiśmy wzajemnie nic sobie.

Marya.

Czy będę mówić z królem? pytam się na nowo.

Bellegarde.

Ale pomówże z księciem; daję ci me słowo,

Że zobaczysz tu króla, moje śliczne dziecię.

Pogadaj ze mną trochę. Cóż robimy przecie?

W czerni? Więc damą dworu zostać masz nadzieję?

—Lubiłaś śmiać się kiedyś.

Marya.

Ja już się nie śmieję,

Mości książę.

Bellegarde.

Ty płaczesz? płaczesz, na mą duszę!

Marya *(ocierając oczy, mężnie)*.

Mości książę, natychmiast mówić z królem muszę.

Bellegarde.

W jakim celu?

Marya.

Niestety! mam prośbę....

Jednakże:

Bellegarde.

Czy przeciw kardynała?

Marya.

Właśnie.

Bellegarde (*otwierając jej galeryę*).

I ty także?

Ja w tej galeryi wszystkich malkontentów mieszczę.
Nie wychodź, aż dam hasło, proszę cię raz jeszcze.

(*Marya wchodzi. On zamyka za nią drzwi*).

Dla margrabiego miałem już zaszkodzić sobie:

Gorzéj nie będzie ze mną, gdy dla dwóch to zrobię.

(*Sala napętnia się powoli dworakami, którzy rozmawiają z sobą. Książę de Bellegarde od jednego do drugiego przechodzi, zjawia się Angely i Laffemas*).

SCENA PIĄTA.

Ciż sami, DWORACY, ANGELY i pan de LAFFEMAS.

(*Pan de Laffemas wchodzi, wszyscy cisną się około niego. Książę de Bellegarde patrzy na to z nieukontentowaniem*).

Bellegarde (*do Angelego*).

Trefnisiu, kto ten człowiek, ten z gronostajami?

Angely.

Którego tak częstują wszyscy ukłonami?

Bellegarde.

Właśnie. Figura nowa; wcale mi nieznana.

Czy to nie jest ktokolwiek księcia Orleana?

Angely.

Niktby go tak nie witał.

Bellegarde.

Jakby grand Hiszpanii.

Angely (*cicho*).

Jestto pan de Laffemas, intendent Szampanii,
Naczelnik kryminalny.

Bellegarde.

A Francya go cała

Nazywa od dość dawna katem kardynała.

Angely.

To on sam.

Bellegarde.

I przy dworze?

Angely.

Przecież żadne dziwa,

Kiedy do menażeryi i tygrys przybywa.

Mamże poznać go z księciem?

Bellegarde.

Co powiadasz, błaznie?

Angely.

Że będąc wielkim panem, byłbym z nim w przyjaźni,

Poznać się z nim potrzeba, to sekret nie nowy:

On gdy ręki nie dotknie, może dotknąć głowy.

(Idzie po p. de Laffemas i przedstawia go księciu, który dość obojętnie kłania się).

Laffemas *(z ukłonem)*.

Mości książę...

Bellegarde *(z ukłonem)*.

Rad jestem.

(Na stronie).

Ha! żyjem wspaniale!..

Gdzieżeśmy to upadli... Mości kardynale...

(P. de Laffemas oddala się).

Vice-hrabia de Rohan

(śmiejąc się głośno w głębi sali otoczony dworakami).

Brawo!

Angely.

A co tam?

Rohan.

Marysia tam w sali.

Angely.

Marysia?

Rohan.

Ze zgorzenia pałac się zawali:

Przy Ludwiku Wstydlwym — Marysia grzesznica.

Angely.

Masz pan racją i koncept wszystkich nas zachwyca.

Bellegarde *(do hr. de Charnacé)*.

Panie łowczy i jakże wczorajsze wabienie?

Zwierz będzie?

Charnacé.

Miałem wczoraj radosne złudzenie,
Wilki trzech chłopów zjadły. Sądziłem, mój Boże,
Że dziś całe ich stado znajdę przy Szamborze.
Ba, ślad zastygł; napróżno splondrowano knieje.

(Do Angelego).

No! jest tam co śmiesznego?

Angely.

Nie, nudno się dzieje.

Ach! jest... dwóch ludzi wieszać, wieszać co się zowie,
Mają za pojedynek.

Abbé-Gondi *(zdziwiony)*.

Za to?

(Drzwi złocone otwierają się).

Woźny.

Król, panowie!

(Wchodzi król czarno ubrany, blady, oczy spuszczone; na kaftanie i na płaszczu order św. Ducha. Kapelusze ma na głowie. Dworacy zdejmują kapelusze i stoją w milczeniu we dwa rzędy. Straże pochylają halabardy, lub prezentują muszkiety).

SCENA SZÓSTA.

Ciż sami, KRÓL.

(Król przechodzi powoli, nie podnosząc głowy pomiędzy dworakami, zatrzymuje się na proździ: sceny i stoi jakiś czas milczący i zamyślony. Dworacy usuwają się w głąb sceny).

Król *(do siebie)*.

Żle... coraz gorzej!..

(Do dworaków, skinąwszy im głową).

Wszystkich, niech Bóg ma w swojej mocy:

(Rzuca się na krzesło i wzdycha głęboko).

Ach! panie de Bellegarde,— nie spałem téj nocy!...

Bellegarde *(zblizając się z trzema ukłoniłmi)*.

Królu! któż teraz sypia?...

Król *(żywo)*.

Słusznie, bo w téj chwili
Państwo się nad przepaścią coraz bardziej chyli!

Bellegarde.

Kierowane jest jednak ręką silną, stałą...

Król.

Tak, a książę kardynał ma pracy nie mało.

Bellegarde.

Królu...

Król.

Te stare siły, myślałem, wyręcę;
Lecz, czyż ja mogę rządzić, gdy życiem się męcę.

Bellegarde.

Kardynał nie tak stary...

Król.

Powiedz-że mi szczerze;
Nikt nas teraz nie słucha, w otwartość twą wierzę;
Co myślisz o nim?

Bellegarde.

O kim, królu?

Król.

O nim, książę?

Bellegarde.

O eminencyi?

Król.

No, tak!

Bellegarde.

Ledwo okiem zdążę

Za jego świetną gwiazdą...

Król.

Szczerość lichéj miary;

(*Oglądając się dokoła*).

Nie masz tu eminencyi, — czerwonej, ni szaréj!
Nie ma szpiegów! król pyta; nie bój się i śmiało
Powiedz mi prawdę o nim.

Bellegarde.

Jakto, — prawdę całą?

Król.

Ale otwarcie...

Bellegarde (*śmiałym głosem*).

Dobrze. To człowiek olbrzymi!

Król.

A nawet powtórzyłbyś to samo i w Rzymie?
Słuchaj! kraj drży choć milczy przed mojem obliczem,
Między nim, który wszystkiem, i mną, — który niczem?

Bellegarde.

Ach!...

Król.

Wszystko w rękę trzyma, skarb i siły zbrojne,
Prawo, zebrane stany i pokój i wojnę,
On. Król skinął—i ligi katolickiej niema...
Podkopuje dom Austrii, bo ten ze mną trzyma...
A że ztamtąd królowa, więc źle jest z królową...

Bellegarde.

Aleś królu założył królikarnię nową;
Zawsze udział swój miałeś.

Król.

Z Danią intryguje.

Bellegarde.

Ale król sam podatek od sreber szacuje.

Król (*ze wstającą żalem*).

I z Rzymem w ciągłej kłótni.

Bellegarde.

Ale zdał królowi
Wydać ów jeden edykt przeciwko zbytkowi,
Wzbraniający mieszczanom,— bo pomnę osnowę,
Przejadać co dnia więcej, jak talar na głowę.

Król.

A wszystkie te traktaty co skrycie zawiera?

Bellegarde.

Ale król nad myśliwstwem władzę rozpościera.

Król.

I mój order na koniec chce dać bratu swemu;
Lecz dość: ja się buntuję.

Bellegarde.

Będzie przykro jemu.

Król.

Zbrzydzono mi ród jego.

Bellegarde.

Zawiść oczywista!

Król.

Jego krewna Kombalè—załotnica czysta!

Bellegarde.

Obmowa.

Król.

Dwustu ludzi pieszej straży trzyma!

Bellegarde.

Ale tylko stu konnych.

Król.

A! to miary nie ma!

Bellegarde

Lecz on Francją uświetnia.

Król.

A dumę mą mroczy:

Jedną ręką z rodziną moją wojnę toczy,

Drugą z Huguenotami robi układ nowy.

(Z cicha).

A! gdybym śmiał policzyć te ucięte głowy,

Wszystkie moich przyjaciół, — przez tego szatana?

Słuchaj: purpura jego we krwi ich wyprana!

On mnie w żałobę ubrał; grobami otacza.

Bellegarde.

Ale i własnym swoim krewnym nie przebacza?

Król.

Jeśli tych, których kocha nigdy nie oszczędził,

To mnie kocha, zaiste...

(Nagle po chwili milczenia, zakładając ręce na piersiach).

Matkę mą wypędził!

Bellegarde.

Lecz najjaśniejszy panie, ja w nim zawsze widzę
Wierność dla was, gotowość...

Król.

Ja go nienawidzę!

Zawadza mi, ciemnieży! ja nie jestem panem

I wolnym; a to jednak winno być mym stanem!

Czyż nie lęka się, ciosów zadając mi tyle,

Że się zbudzę nareszcie w mój królewskiej sile?

Bo przy mnie, chorym, wątłym, choć taki wspaniały

Płomień jego świetności, od mych tchnień drży cały,

I obróć w perzynę tę dolę zazdrośną,

Gdy to, co cicho mówię, zechcę wyrzec głośno!

(milczenie).

On dobre w złe, złe znowu na gorsze zamienia.

Moje — całego państwa wzrastają cierpienia.

Kardynał — wewnątrz kraju, na zewnątrz — kardynał:

Król, nigdzie! Przeciw Austrii podnosi puginą;

Pozwala chwycić moje na morzach okręta

I w przymierze z Gustawem Adolfem mię pęta....

A on — jak dusza króla, spływa w rządów ciemnie,

Jest wszechobecny w kraju, w mym rodzie i we mnie!

(idzie do okna).

A ten deszcz! W deszcz spać idę, i z deszczem się budzę!..

Bellegarde.

Najjaśniejszy Pan cierpi?

Król.

Nudzę się, ach! nudzę.
(*milczenie*).

Być ostatnim, gdy pierwszym zrobiły niebiosy!
 Z najnędnym z poddanych zamieniałbym losy;
 Bo każdy biedak przecie jest królem swęj chaty...
 A! ciągle mieć przed okiem te jego szkarłaty;
 Słyszeć głos co mi ciągle powtarza i wszędzie:
 „Twoja królewska wola niech dziś taka będzie!”
 Ten człowiek mię wykrada u ludu, mnie króla;
 I jako z dzieckiem czynią, w szacie swęj utula;
 A gdy przechodzień spyta: co kardynał niesie?
 Ktoś odpowie: niemowlę, które królem zwie się.
 A później— ciągle, zawsze straszne śmierci kary...
 Zawczoraj— Hugenoci; dziś nowe ofiary,
 Co winne pojedynku.... Pojedynek... zbrodnia!?
 Lecz mu głów ludzkich trzeba, co dnia, co dnia! co dnia!

(*Ks. de Bellegarde tupie nogą. Wchodzi margrabia de Nangis i Marya.*)

SCENA SIÓDMA.

Cią sami. MARYA. Pan de NANGIS.

(*Pan de Nangis zbliża się ze swoją świtą o parę kroków do króla i przykleka; Marya we drzwiach upada na kolana.*)

Nangis

Sądu, królu!

Król.

A nad kim?

Nangis.

Nad zbójcą zuchwałym,
 Który tutaj się zowie księciem kardynałem!

Marya.

Łaski!..

Król.

Dla kogo?

Marya.

Didier....

Nangis.

Dla mego Gaspara.

Król (*na stronie*).

Te imiona się snują w pamięci jak mara.

Nangis.

Sprawiedliwości, łaski!

Król.

Twe prawa ku temu?

Nangis.

Jestem wujem pierwszego.

Marya.

Ja, siostrą drugiemu.

Król.

Czegóż żądacie tutaj we wspólnej żałości?

Nangis (*ukazując kolejno ręce króla*).

Z téj ręki — miłosierdzia, z téj — sprawiedliwości!
Ja, margrabia de Nangis, kapitan stu koni,
Baron zamku i góry, doliny i błoni,
Gdy ma stara zasługa zdeptaną została;
Na Armanda Diuplesi księcia kardynała
Przychodzę zanieść skargę, w cierpieniu mém srogiem,
Przed mojemu władcami, przed królem i Bogiem!
Z resztą sprawiedliwości tylko się domagam,
Margrabia de Saverny, za którym dziś błagam,
Jest mym siostrzeńcem, królu!

Marya (*z cicha do p. de Nangis*).

Mów za dwoma, panie.

Nangis.

Honorowe niedawno musiał mieć spotkanie
Z pewnym szlachcicem Didier, mniemam, kapitanem,
Lecz którego szlachectwo dość jest podejrzanem.
Był to błąd. Jednak oba uczciwie walczyli...
Minister nasłał zbirów....

Król (*przerzuwając*).

Sprawę ich w téj chwili
Przeglądałem; więc dosyć. Jakież twe żądanie?

Nangis.

Abyś zwrócił uwagę, Najjaśniejszy Panie,
Że ten książę - kardynał ma dzikie zamiary
I krew twoich poddanych pije z pełnej czary.
Henryk Czwarty, wasz ojciec, królewskiej pamięci
Nie byłby swojej szlachty wydawał na ścięcie,

Nie wymierzał w nią ciosów, co chwieją koroną
I sam przez nią strzeżony, był dla niej obroną.
On czuł, że się nie godzi tój orężnej cnocie
Dać ginąć z ręki kata na krwawym szafocie,
Gdy ona wojny siłą; a miał doświadczenie,
Bo mu nie jedna kula przedarła odzienie.
Jestem z tych dobrych czasów i spoglądam śmieiele.
Szlachectwo biło w kraju, jako serce w ciele,
Królu! na dni dzisiejszych tę dolę mizerną,
Wierz starcowi, zachowaj szlachtę tobie wierną,
Bo może jój pomocy doznać ci sądzono.
Kto wie, czy się nie wzniesie żalem twoje łono,
Tu szafot tak się często krwią szlachetną broczy!
Kiedy walecznych szukać będą twoje oczy,
Uderzać na gwałt drzwony nie odwykły jeszcze,
I domowych walk gromy nie zmilkły złowieszczę.
Niechajże kata pracy spoczynek się stanie,
On miecz winien mieć w pochwie, ale nie my, panie!
Oszczędzaj rusztowania w tój przejścia godzinie;
Bo jutro można płakać za tym, co dziś ginie,
I uczuć stratę ludzi, których bez żałości
Widzim na szubienicy bielejące kości!
O! Najjaśniejszy Panie, krew— nie dobra rosa;
A plac kaźni nie wyda żywiącego kłosa!
I trupy koło króla nicosić tylko czynią,
A place krwią zbroczone Luwr robią pustynią.
Ha! niech zginą dworacy, których głos cię bawi,
Gdy we krwi twych poddanych miecz kata się pławi.
Ten głos podłych pochlebców, co śpiewa pochwały,
Mówi ci żeś król wielki, mądry i wspaniały;
Szmerem swym ucha twego, Panie, nie zachowa
Od łoskotu, co czyni ścięta ludzka głowa.
O Najjaśniejszy Panie, to straszliwa droga.
W majestacie twym staniesz kiedyś w obec Boga!
Więc nim czasy się spełnią, ja mówię wyraźnie:
Że walka zaszczytniejsza, aniżeli kaźnię;
Że państwo czci i sławy pewno nie nabierze,
Gdy kat w niém więcej działa, niżeli żołnierze;
Że za ciężki to pasterz na twoją krainę,
Kardynał co z głów ludzkich bierze dziesięcinę;
I że ten człek, któremu powierzasz koronę
I berło tve, ma ręce krwią oposoczone.

Król.

Kardynał— mój przyjaciel, ma wielkie zasługi.

Nangis.

O! Najjaśniejszy Panie....

Król.

Kardynał—ja drugi.

Nangis.

Królu...

Król.

O! dosyć rozpraw; trują mię te słowa,

(pokazując na włosy swe).

Z łaski to rozprawiaczy siwieje mi głowa!

Nangis.

Jednakże twe skinienie da nam śmierć, lub życie,
Zgrzybiałemu starcowi i biednej kobiecie!

Król.

Czegóż chcecie?

Nangis.

Dla obu, królu, przebaczenia!

Król.

Wszystko, co król w wyroku łaską swą odmienia,
Najczęściej tylko krzywdą jest sprawiedliwości.

Marya.

O! dla naszej załoby, nie bądź bez litości!
Bo trzeba wszystko wiedzieć. Dwóch młodych, szalonych
Tylko przez pojedynek w przepaść potraconych!
Umrzeć na szubienicy,—tą śmiercią nikczemną;
Nie umiem mówić z królem. Może płaczem rażę?
Lecz ten książę kardynał podobny poczwarze!
Zkąd ta jego złość do nich? zna ich? ani trocha.
O! kto zna mego brata, ten pewnie go kocha! —
Młodzi,—za pojedynek czyż umrzeć im trzeba?
Ich matki.... pomyśl królu! okropność! o nieba!
Nie zechcesz tego panie! My niewiasty biedne,
Niewymowne w rozpacz, słabe i bezwiedne
Umiemy mówić łkaniem, jękiem, kolanami,
Które wzrok króla zgina i łamie pod nami!
Złe zrobili—to prawda! gniew twój napomina,
Lecz przebacza, boś królem!—młodość to ich wina.
Mój Boże! młodzi zawsze grzeszą młodą głową...
Za ruch, jedno spojrzenie, jedno czasem słowo
Zapalają się gniewem, unoszą się szaleń;
To zawsze tak się dzieje w młodych życiu całym!

(pokazując na dworaków).

Ci panowie to wiedzą;—zapytaj ich panie!

Prawda, mówcie panowie!

(Zwraca się do króla).

Niech łaska się stanie!

Rzeknij słowo,—wyzwolisz dwóch na śmierć skazanych!

O! będą cię tak kochać, jak nikt z twych poddanych!
 Gdybym umiała mówić, jak czuję—o nieba!
 Sambyś królu powiedział: „pocieszyć ją trzeba,
 Bo ona biedna—biedna;—Didier duszą dla niej!...
 Tchu mi brak! przebacź! przebacź!

Król (*do obecnych*).

Kto to jest ta pani?

Marya.

Siostra, królu, co wznosi błagalne pacierze....
 Tyś własnością nieszczęsnych!...

Król.

Do wszystkich należę.

Pojedynki się mnożą bez granic, bez miary:—

Marya.

Trza czynić miłosierdzie.

Król.

Trza przykładnej kary.

Nangis.

To dzieci, królu, jeszcze; wyrzec łaski słowa!
 Ach! ich obydwóch wieki—to mego połowa!

Marya.

Królu! masz matkę, żonę, dzieci,—syna,
 Kogoś w którym twe szczęście i radość jedyna,
 Brata, królu! Ja siostra—błagam zrozpaczona...

Król.

Brata? nie mam,

(*zamyśla się na chwilę, do siebie*).

Ach! prawda. Przecie mam Gastona.

(*spostzegając strażę margrabiego de Nangis*).

Cóżto, panie margrabio za zbrojna brygada?
 Czy na wojny krzyżowe iść nam ztąd wypada,
 Że stawisz mi przed oczy poczet, by książęcy?
 Czy jesteś księciem, parem?

Nangis.

Jestem trochę więcej

Niżli par albo książę, dobrzy do cermonij;
 Jestem baron bretoński od czterech baronij.

Bellegarde (*na stronie*)

A niezgrabnie wystąpił z temi pretensyami.

Król.

Dobrze. Wróć na swój zamek ze swemi prawami,
 A nam pozostaw naszych swobodne pełnienie,
 My jesteśmy tu sędzią.

Nangis.

Na twych przodków cienie
Błagam, zważ na ich młodość! zważ zastępcu Boży,
(*upadając na kolana*).

Na dumę starca, która u stóp twych się korzy!
Przebacz!—

(*Król daje znak ręką nagły i odmówny*).

(*Nangis powoli powstaje*).

Króla Henryka, twego panie ojca
I naszego—jam sługa. Byłem, gdy ów zbójca...
Owa poczwara niecna—sztyletem uderzył...
Jak to mój obowiązek, kiedy król mój nie żył,
Ja pilnowałem ciała.—Oczy me widziały
Sześciu braci ginących dla królewskiej chwały.
Później śmierć mojej żony—była mą żałobą,
A dziś ten starzec królu, co stoi przed tobą,
Jest jak człowiek, którego ciężka ręka kata,
W męczeńskie kaźni koło, na dzień cały wplata:
Od rana cios za ciosem w moje życie godzi,
I druzgoce częściami. Już słońce zachodzi.

(*kładąc rękę na piersi*).

Cios ostatni uderzył.—Niech Bóg króla strzeże!
(*kłania się nisko i wychodzi. Marya powstaje z wysileniem, idzie
chwiejącemi się krokami i upada u drzwi złoconych pokoju królew-
skiego*).

Król,

(*ocierając łzę spogląda na odchodzącego p. de Nangis. Do p. de Belle-
garde*).

Bardzo trudno być królem, powiadam ci szczerze.
Ten starzec mię rozczulił... Aż mi dusza chora...

(*zamyśla się, później nagle*).

Dziś nie mogę przebaczać,—bo grzeszyłem wczora!

(*zbliża się trochę do p. Bellegarde*).

Co zaś do ciebie, książe, byłeś nie w humorze,
Rzekłeś mi rzecz nie jedną, co ci szkodzić może;

Kiedy kardynałowi wyznam co do słowa,

Jaka to była nasza dzisiejsza rozmowa.

Żałuję cię, bo nie wiem co się ztąd wywiąże,

(*poziewa*).

Ach! nic w nocy nie spałem, mój pocziwy książe.

(*odprawia gestem dwór i straż*).

Możecie odejść wszyscy.

(*do Angelego*),

Z tobą będziem sami.

(*Wszyscy wychodzą, oprócz Maryi, której król nie widzi. Książe de
Bellegarde spostrzega ją przytuloną do drzwi na klęczkach i zbliża
się do niej*).

Bellegarde (*do Maryi*).

Nie możesz tak tu zostać u króla pod drzwiami.
Błada, drżąca!—Czyż myślisz zyskać litość czyją?
Odejdź ztąd.

Marya.

Nie! stać będę! niech mię tu zabiją!

Angely (*z cicha do p. Bellegarde*).

Zostaw ją książę.

(*cicho do Maryi*).

Zostań.—

(*p. de Bellegarde wychodzi; Angely wraca do króla, który usiadł
w krześle i zamyslił się głęboko*).

SCENA ÓSMA.

KRÓL. ANGELY. MARYA.

Król (*z głębokim westchnieniem*).

Angely! Angely!

Me biedne chore serce trucizną zaleli.
Usta uśmiech straciły, łez nie zna żrenica.
Ty jeden jeszcze czasem rozchmurzasz mi lica,
Ty jeden się nie lękasz królewskiej wielkości:
Chodź i rzuć do méj duszy promyk wesołości.
(*Milczenie*).

Angely.

Prawda że ten byt ziemi i gorzki i błotny?

Król.

Niestety.

Angely.

A ten człowiek to podmuch przelotny?

Król.

Tak nie więcej nad podmuch.

Angely.

A być jednocześnie
I królem i człowiekiem—okropnie,—boleśnie!

Król.

Dwa ciężary, dwa jarzma!

Angely.

Ach! nad to istnienie
Czyż nie lepszy grób cichy i śmiertelne cienie?

Król.

Zawsze to utrzymuję.

Angely.

Jedna łaska nieba

Umrzeć, lub się nie rodzić: ludziom cierpieć trzeba.

Król.

Jak mi przyjemnie słuchać słów twoich, mój Boże!

(Milczenie).

Angely.

Jak myślisz, królu: z grobu czy kto wrócić może?

Król *(ktorego smutek coraz bardziej wzrasta).*

Ach! byle umrzeć prędzej, będziemy wiedzieli.

(Milczenie).

Widzisz jak ja nieszczęsny, mój biedny Angely!

Angely.

Widzę; — twarz taka blada; westchnienie w oddechu:
Żałoba...

Król.

Prawda, prawda. Nie mam sił do śmiechu!

(Zbliżając się do Angelego).

Bo ze mną — próżny trud twój. Starania daremne.

Błazen króla — prawdziwie zajęcie przyjemne.

Dzwonek rozbity, lalka strzaskana przed czasem,

Śmiech twój spróchniał już przy mnie i stał się grymasem;

Po cóż igrasz tu jeszcze w tej smutnej istności?

Po co żyjesz na ziemi?

Angely.

Żyję z ciekawości.

Lecz ty — dlaczego żyjesz? takie życie — karą.

Być królem, jak ty jesteś, lepiej — babą starą!

Jam lalka; nie odemnie w twém ręku spoczywa;

Lecz twa szata królewska cięższy sznurek skrywa,

Targany silną dłonią. W tém różnica cała:

Ja jestem lalką króla, a ty kardynała.

(Milczenie).

Król.

Błaznujesz, lecz masz rację. To człowiek piekielny!

Może szatan się odział w ten szkarłat kościelny?

Może on w tej postaci opętał mą duszę?

Angely.

Że mi się to wydaje, przyznać szczerze muszę.

Król.

Dajmy pokój tym żartom; to musi być grzechem.
— Lecz spójrz, czy mię los kiedy obdarzył uśmiechem.
Jadę tu— ryby łowić i w całym Szamborze
Nie ma wód, w których mucha utopić się może;
Odsyłam moje ptaki i myślę polować,
Od tygodnia przed deszczem nie można się schować;
Widzisz: poluję—potop; ryby łowię—susza.
Takie zawsze me szczęście.

Angely.

Wiem, że twoja dusza
Samych bólów doznaje.

Król.

Takie me istnienie.

Angely.

A jeszcze jedna przykrość. Wiem, w jakiej masz cenie
Układanie sokołów do łowieckiej sztuki.
Sam myśliwy, wiesz jakiej głębokiej nauki
Jest dobry sokolniczy.

Król (*żywo i z zapalem*).

To mądrość pół-boga.

Angely.

Otóż dwóch takich mędrców są u grobu proga.

Król.

Obadwa?

Angely.

Tak jest.

Król.

Sławni?

Angely.

Pierwsi.

Król.

Któż tacy?

Angely.

Błagano cię za nimi: owi dwaj biedacy...

Król.

Gaspar? Didier?

Angely.

Podobno, że to ich imiona.

Król.

I obaj sokolnicy — sławni?! sztuka kona
Już bez téj nowój straty. Jeszcze ja, jedynie,
Trzymam ją. Umrę — sztuka bez wieści zaginie.
— O cóż ten pojedynek?

Angely.

Ot, sprzeczka, — mój Boże,
Że jastrząb w długim locie sokoła przemoże.

Król.

To niesłusznie. Jednakże wieszać nie ma za co.

(*Milczenie*).

Zresztą nigdy praw łaski królowie nie tracą;
Kardynał mię o słabość wieczyscie pomawia.

(*Milczenie*).

Richelieu chce ich śmierci.

Angely.

Cóż król postanawia?

Król (*po namyśle*).

Muszą umrzeć.

Angely.

Najlepiéj.

Król (*zamyślony*).

Biedni sokolnicy...

Angely (*idąc do okna*).

Patrz-no królu.

Król (*jakby ze snu*).

Ha! co tam?

Angely.

Patrz w dół, ku ulicy.

Król (*wyglądając przez okno*).

Nic nie ma.

Angely.

Zmiana warty.

Król.

Rzecz zwykła, mój drogi.

Angely.

A co to jest, ten dyląg z żółtemi wyłogi?

Król.

Nic — kapral.

Angely.

Zdjął już wartę i stawia na nowo

I coś szepcze do ucha — co?

Król.

Co? hasło nowe.

Lecz do czego sam zmierzasz?

Angely.

Ba! sekretu nie ma:

Że każdy król na ziemi Bożą wartę trzyma;

Lecz zamiast halabardy w berło uzbrojony:

A kiedy wykróluje czas muznaczony,

To śmierć, kapral koronny wnet wartę odnawia.

Innego pomazańca na straż ludom stawia,

Dając mu hasło Boże w słowie: przebaczenie!

Król.

Nie — hasłem: sprawiedliwość! Wyroku nie zmienię;

— Szkoda — umrą!

Angely.

Jak ja—ty—i wielki i mały.

Śmierć nas schłonie zarówno: apetyt jej trwały.

Choć ciasno, zmarli jednak śpią jak nikt na świecie.

Książę kardynał ciebie udręcza i gniecie;

Chwila, królu: dzień, miesiąc, rok, albo lat parę,

Gdy wszyscy odegramy role nasze stare,

Ty króla, a ja błazna, on naszego pana:

Uśniem we trzech. Jakkolwiek wielkość nasza znana,

Jakkolwiek my stworzenia potężne i dumne;

Każdemu sześć stóp ziemi wystarczy pod trumnę.

On—już nawet nie chodzi: w lektyce go noszą...

Król.

Tak: życie rzecz okropna, a śmierć jest rozkoszą.

Ty jeden mię zabawić jeszcze jesteś w stanie.

Angely.

Lecz ja właśnie przyszedłem dziś na pożegnanie.

Król.

Co?

Angely.

Już opuszczam króla.

Król.

Cóż to za myśl biedna;

Wszak ze służby królewskiej uwalnia śmierć jedna?

Angely.

To też muszę umierać.

Król.

To głowa szalona.

Angely.

Postradam ją przez wyrok Ludwika Burbona.

Król.

No, wytłumacz się z żartu, bo już mię to nudzi.

Angely.

Mam udział w pojedynku tych dwóch młodych ludzi,
Szpada moja wplątana w sprawę nieszczęśliwie,
Więc oddaje ją tobie.

(wyjmuje szpadę, przykłada i oddaje ją królowi).

Król *(biorąc szpadę i przypatrując się).*

Tak... szpada... prawdziwie.

Zkąd ją masz?

Angely.

Przeciem szlachcic tak dobry, jak inny;
Nie przebaczyłeś tamtym, a więc i ja winny
I występku i kary.

Król.

Ach! mój biedny błaznie,
Niechże cię raz ostatni uściskę przyjaźnie.
(ściska Angelego).

Angely *(na stronie).*

Lecz on tę sprawę wiedzie na głupie bezdroże.

Król *(po chwili milczenia).*

Nigdy król biegu prawa tamować nie może.
Ale książę kardynał okrutny bez granic:
Błazna i sokołniczych zabiera mi za nic.
(przechadza się niespokojnie, później zwraca się do Angelego).
Pociesz się! byt tej ziemi i gorzki i błotny;
Śmierć miłsza, człowiek jest tylko podmuch przelotny.

Angely *(na stronie).*

Do diabła.

Król *(ciągle się przechadza wzruszony).*

Więc i ciebie powiesz mi jeszcze?

Angely *(na stronie).*

Jak on łatwo się zgadza: przechodzą mię dreszcze.
(głośno).

Chyba jedno twe słowo...

Król.

Któż mię bawić będzie...

A! czy z grobu wyjść można, ostrzeż mię w tym względzie.
Znalazła się okazja.

Angely (*na stronie*).

To rola wspaniała!

Król.

(*dalej się przechadza przemawiając po słówku do Angelego*).

Angely! jaki tryumf księcia kardynała!

(*krzyżując ręce na piersiach*).

Gdy zechcę, panem tutaj mogę być: mój Boże!

Angely.

Montaigne rzekłby: „ja niewiem!” Rabelais: „być może”.

Król (*stanowczym głosem*).

Błaznie! Pargamin, pióro!

(*Angely podaje mu spieszenie przybory do pisania znajdujące się na stoliku. Król pisze słów kilka i oddaje pargamin błaznowi*).

Wszystkim łaska dana!

Angely.

Wszystkim trzem.

Król.

Tak jest, wszystkim.

Angely (*biegnąc do Maryi*).

Pani! na kolana!

Dziękujemy!

Marya (*drżąc klęcząc*).

Więc to łaska?! nie umrze mój drogi!!

Angely.

Łaska króla....

Marya.

Ach! czyjeż mam całować nogi,
Twoje? króla?

Król

(*zdezorientowany, przypatruje się Maryi na stronie*).

To wszystko wprawia w podejrzenie.

Czy to sidła?

Angely (*oddając pargamin Maryi*).

Strzeż dobrze; bo w nim przebaczenie!

(*Marya całuje pargamin i chowa go za gors*).

Król.

Pani, oddaj ten papier! widzę teraz jasno
Podejście...

Marya.

Ach! mój Boże!...

(*do króla śmiało, pokazując na swe piersi*).

Królu! ręką własną

Weź go i wydrzyj serce!

(*Król zatrzymuje się i cofa zmieszany*).

Angely (*zeiicha do Maryi*).

Dobrze! Bogu dzięki!
Król za nic tam nie włoży swój wstydliwęj ręki.

Król do Maryi.

(*żegnając ją ruchem ręki, i niepodnosząc na nią oczu*).
Odejdź!

Marya (*kłaniając się nisko królowi*).

Spieszmy się wyrwać z rąk tego nędznika
(*odchodząc*).

Król.

Cóż to jest za syrena?

Angely.

Siostra sokolnika.

Król.

Mniejsza—ale szczególna, i każdy to przyzna;
Musiałem spuścić oczy przed nią—ja, mężczyzna.
(*milczenie*).

Błaźnie, ty mię podszedłeś; więc jeszcze raz muszę
Przebaczyć dziś.

Angely.

Spiesz królu, o! spiesz na mą duszę!
Łaska płynąca z serca koł je, nie drażni.

Król.

Prawda. Zawszem cierpiący w te dni ciężkiej kaźni.
I Nangis mówił prawdę: trupy—nicość czynią,
I place krwią zbroczone, Luwr robią pustynią.
(*przechadzając się wielkim krokiem*).

Jest to zdrada i śmiałość bezczelna nędznika,
Prawo łaski wydierać z rąk syna Henryka!
Więc jestem rozbrojony i z tronu zepchnięty,
I jak w posepnej trumnie, w tym człeku zamknięty:
Jego szata—mój całun, i lud po mnie płacze;
Nie chcę by zabijano! ciężkie to rozpacz!
Życie to dzień dzisiejszy i te—ludu zorze!
(*milczenie*).

Bóg do śmierci ma prawo, bo On wskrzesić może!
Lecz król—nie!—niech się cieszy niemi ich rodzina,
Niech żyją! a ten starzec, ta młoda dziewczyna
Będą mię błogosławić. Dobrze, podpisałem;
„Tak chcę”: Król. Trochy będzie biedy z kardynałem:
Uprę się. A i Bellegarde rad będzie w dodatku.

Angely.

Przecież wolno być królem, chociaż raz z przypadku.

V.

K A R D Y N A Ł.

A K T V.

(Rzecz dzieje się w Beaugency. Scena przedstawia wieżę zamku Beaugency. Dziedziniec więzienia. W głębi wieża, naokoło mur wysoki. Na lewo wielka brama. Na prawo mała furta w głębi muru, przy tej furcie stół i ławka kamienna.)

SCENA PIERWSZA.

Robotnicy, pracują nad obaleniem muru który jest w głębi na lewo. Wylom już dość jest obszerny.

Robotnik 1szy.

Twarde jak tysiąc djabłów.

Robotnik 2gi.

To Boże skarangie

Z takim murem.

Robotnik 3ci.

Héj, Pietrze, widzisz rusztowanie?

Robotnik 1szy

Widzę.

(mierzy szerokość wylomu).

Otwór za wąski. Księcia kardynała

Nie przejdzie tu lektyka.

Robotnik 2gi.

Cóż? Taka wspaniała?

Robotnik 3ci.

To jak domostwo chyba?

Robotnik 1szy *(z potakującym giestem).*

Z firankami przecie;

Dwudziestu czterech ludzi dźwiga ją na grzbiecie.

Robotnik 2gi.

Czegóż siebie i gwardyą na tę podróż trudzi.

Robotnik 1szy.

Chce widzieć egzekucyą tych dwóch młodych ludzi;

Chory: trochę rozrywki chce znaleźć dla siebie.

Robotnik 2gi.

No! kończmy...

(Pracują. Otwór prawie już zrobiony).

Robotnik 3ci.

Śliczny szafot! Co to, proszę ciebie,
Być szlachcicem!

Robotnik 1szy.

Im wszystko! już tak mają z rodu.

Robotnik 2gi.

Dla nasby nie robili takiego zachodu.

Robotnik 1szy.

Za co ich zabijają? Za jaką złośliwość?
Czy ty pojmujesz za co?

Robotnik 3ci.

Nie: to sprawiedliwość.

(Dalej prowadzą robotę. Wchodzi p. de Laffemas. Robotnicy umilkli. P. de Laffemas wchodzi z głębi sceny, jak gdyby szedł z wewnętrznej dziedzińca więzienia. Zatrzymuje się przy robotnikach, opatruje wyłom. Robota się kończy. P. de Laffemas każe robotnikom zaciągnąć wyłom czarnym suknem; później ich odprawia. Prawie w tejże chwili przybywa Marya w biele, na głowie zasłona. Wchodzi przez wielką bramę, przebiega przez scenę i stuka do fôrty. P. de Laffemas zbliża się powoli do niej. Fôrta się otwiera. Dozorca więzienia pokazuje się we drzwiach).

SCENA DRUGA.

MARYA. Pan de LAFFEMAS. DOZORCA.

Marya (pokazując pargamin).

Rozkaz króla.

Dozorca.

Nie można.

Marya.

Jakto? Co to znaczy?

Laffemas (pokazując papier).

To podpis kardynała.

Dozorca.

Niechaj pan wejść raczy.

(P. de Laffemas na progu zatrzymuje się i wraca ku Maryi. Dozorca zamyka fôrte).

Laffemas (do Maryi).

Pani tu? Na mój drodże? Dość dziwne spotkanie.

Marya.

Tak.

(pokazując z tryumfem pergamin).

Mam łaskę królewską!

Laffemas *(pokazując swój papier).*

A ja, odwołanie.

Marya *(z przestraszeniem).*

Mój dany wczoraj rano.

Laffemas.

Mój z nocy pochodzi.

Marya.

Ach więc nie ma nadziei?

Laffemas.

Nadzieja zawodzi.

Miłosierdzie królewskie rzecz piękna z daleka;

Ale powoli idzie, a szybko ucieka!

Marya.

Jednakże król litośnie na ich los spogląda!

Laffemas

A cóż król począć może, gdy kardynał żąda?

Marya.

O mój Didier! ostatni promień dla mnie gaśnie.

Laffemas *(zeicha).*

Nie jeszcze.

Marya *(na stronie)*

O! mój Boże!

Laffemas *(zbliżając się do niej).*

W tych to murach właśnie,

Jest człowiek.... Jedno słowo — a on dziś — téj nocy,

Będzie miał więcej szczęścia od króla i — mocy!

Marya.

Odejdź pan.

Laffemas.

I nie więcej?

Marya *(dumnie).*

Ja cię proszę panie!

Laffemas.

Kaprysy pięknych kobiet kto zrozumieć w stanie?

Niegdyś łaskawszą byłeś dla wielu nie skrycie;

A dziś, kiedy ci idzie o kochanka życie.....

Marya (*przerwywając*).

O! tyś najnikczemniejszy między nikczemnemi,
Gdy sądzisz że kobieta jest taka na ziemi.
Nawet nędzna Marya, co gdy raz kochała
Człowieka, w którym zacność i czystość jest cała,
Gdy oczyściła siebie w tym dużym płomieniu,
I swą duszę dźwignęła na téj duszy tchnieniu,
Ze szczytów téj miłości, co kryją się w niebie,
Zejść może już do nizin, do błota, do ciebie!?

Laffemas.

Kochaj go, nie przeszkadzam.

Marya.

Nie pójdę w twą drogę,

Poczwaro!

Laffemas.

A więc jeszcze oddać tylko mogę
Jedną przysługę pani.

(*z przyciskiem*)

Gdyś pani ciekawa,
Mogę ją kazać wpuścić, dziś wieczorem sprawa.

Marya (*drżąc całym ciałem*).

Boże! Dziś!

Laffemas.

Tak, wieczorem. Ogłoszono wszędzie,
Ksiązę kardynała nawet w lektyce przybędzie.
(*Marya stoi zagłębiona w konwulsyjnym dumaniu. Nagle przesuwając ręce obie po swym czole i zwraca się jak oblakana do p. de Laffemas*).

Marya.

Ach! jakże pan uczynisz, aby ich wybawić?

Laffemas (*cicho*).

Gdy... zechcesz.... Mogę wartę z mych ludzi postawić
Przy wyłomie, przez który wniosą kardynała,
Ludzie pewni. Na spieszném działaniu rzecz cała.

(*przysłuchuje się*).

Któs idzie. Moja wola i trochę pieniędzy....

Marya (*łamiąc dłonie*).

I żyć będą.

Laffemas.

Zaręczam.

Marya (*z rozpaczą*).

Chodź, o przedźj, przedźj!

(*P. de Laffemas odchodzi w wielką bramę dając znak Maryi aby szła za nim. Marya pada na kolana zwrócona do fôrty. Później zrywa się konwulsyjnie i odchodzi za p. de Laffemas. Przez fôrte otoczeni strażą wchodzi pan de Saverny i Didier*)

SCENA TRZECIA.

DIDIER, SAVERNY.

(P. de Saverny, według ostatniej mody ubrany wchodzi spiesźnie i wesoło. Didier, w czerni, blady, wolnym krokiem. Dozorca stawia warte dwóch ludzi przy czarnej zasłonie. Didier w milczeniu siada na kamienną ławce).

Saverny.

Oh! oddycham!

Dozorca,

(odprowadzając go na stronę).

Mój panie, dwa słowa tajemnie.

Saverny.

Cztery.

Dozorca.

Czy chcesz być wolny?

Saverny *(żywo)*.

Bardzo mi przyjemnie:

Którędy droga?

Dozorca.

Wskażę.

Saverny *(do siebie)*.

Panie kardynale,

Nie chciałeś już mię puścić na uczty i bale!

Bóg żywy! Będę tańczyć. Prawdę rzec: szkaradnie

Umrzeć młodo!

(do Dozorcy).

A kiedy?

Dozorca.

Kiedy noc zapadnie.

Saverny *(zacierając ręce)*.

Opuszczę to mieszkanie, nie robiąc ofiary.

I kto to mię uwalnia?

Dozorca.

A margrabia stary.

Saverny.

Wuj pocziwy!

(do Dozorcy).

Kochanku! To dla dwóch ja sędzę?

Dozorca.

Mam jednego ocalić.

Saverny.

Podwójne pieniądze?

Dozorca.

Jednego tylko mogę.

Saverny.

Tylko? ha! uparty.

(zicha do Dozorcy wskazując na Didier).

Tego trzeba ocalić.

Dozorca.

Wolne panu żarty.

Saverny.

Mówię ci, ocal jego.

Dozorca.

To myśl niestychana.

Margrabia mi zapłacił za osobę pana.

Saverny.

Tak! a więc dwa całuny niech dla nas sprowadzą.

(Odwraca się od Dozorcy, który wzruszając ramionami oddala się.

Wchodzi pisarz sądowy).

Znów ktoś! A że nam chwili spokojnej nie dadzą!

Pisarz,

(kłaniając się więźniom).

Panowie, radca sądów królewskich nadchodzi.

(kłania się powtórnie i oddala się).

Saverny.

Dobrze, dobrze.

(Śmiejąc się).

Prawdziwie, że to nie uchodzi:

Lat dwadzieścia—październik—i nie dożyć roku!

Didier

(z portretem Maryi w ręku, nieruchomy na proscenium).

Blizéj, blizéj! Spojrz na mnie! Wzrok twój w moim oku!

Tak. Ach! jak piękna jesteś? Blask siejesz dokoła.

Tys kobieta? Kobieta z czołem archanioła!

Bóg składając w twe oczy wstydlivość świetlaną,

Ośłonił ich płomienie, w czystość nieskalaną,

Usta drżą jak u dziecka, co niebo pamięta,

Uśmiechem niewinności...

(Rzuca portret na ziemię).

Ach! czemu ta święta,

Co mię—dziecię zgubione znalazła wśród drogi,

Nie strzaskała mi czoła o kamienne progi?

Za cóż mię matka życiem ukarała,—Boże?

Czemu w swoim nieszczęściu,—w występku swym może,

Oddalając mię, nie dość matką była przecie,
By własnymi rękami zadławić swe dziecię!

Saverny (*przechadzając się po dziedzińcu*).

Popatrzo, przyjacielu, jaskółek gromada
Buja nizko: deszcz będzie.

Didier (*nie słysząc go*).

Pokusa i zdrada.

To—kobieta! Istota szatańska i Boża,
Głęboka i burzliwa jako fala morza!
Niestety! Temu morzu powierzyłem siebie,
Jedyną gwiazdę miałem na całym tém niebie,
Dziś rozbitek; do grobu niesie mię fal siła...
Urodziłem się dobrym; przeszłość piękną była;
A może miałem nawet Bożych ogni trocha,
Ducha w sercu—niestety! O! niewiasto płocha!
Kłamałaś mi, kłamałaś twém jestestwem całym,
Gdy ja ci moją duszę na ślepo oddałem!

Saverny.

Zawsze Marya jedna na całym ci świecie.

Didier

(*nie słysząc, podnosi z ziemi portret i wpatruje się w niego*).

A więc trzeba cię rzucić na brudy i śmiecie,
Kobieto—wdziękiem rajska, a kłamstwem obrzydła,
Szatanie, utulony w archanioła skrzydła?!

(*Chowa portret przy sercu*).

Powróć tu—to twe miejsce.

(*Zbliżając się do p. de Saverny*).

Wyobraź sobie,

Ten portret jest żyjacy! Żyje—mówię tobie!
Kiedy spałeś spokojnie, słuchaj, co się stało:
Ten portret serce moje szarpał przez noc całą.

Saverny.

Mój drogi! Pogadajmy o śmierci co spieszy.

(*na stronie*).

To mię zasmuca trochę, lecz jego pocieszy.

Didier.

Wszak mówiłeś coś do mnie? Przebac, nie słyszałem.
Od kiedy wiem jój imię, drzę jestestwem całym,
Jakby w trwodze; duch słaby; serce w brudu pyle;
Pamięć dręczy; nic nie wiem: zapomnieć się siłę.

Saverny (*cisnąc mu ramię*).

Śmierć...

Didier (*z radością*).

Ach!

Saverny.

Pomówmy o niej. Mów mi o jej mocy;
Czém ona jest w istocie?

Didier.

Dobrze spałeś w nocy?

Saverny.

Źle bardzo. Łóżko twarde, jak tylko być może.

Didier.

Gdy umrzesz, przyjacielu, ciała twego łożo
Twardsze zapewne będzie; lecz sen cię uraczy.
Wprawdzie mówią o piekle, lecz cóż ono znaczy
W porównaniu do życia?!

Saverny.

Strach odszedł odemnie.
Ale wisieć, sam przyznasz, trochę nieprzyjemnie?

Didier.

Zawsze droga do śmierci, pragniesz bo za wiele.

Saverny.

Jak chcesz, zadowolenia twego nie podzielę.
Ja się śmierci nie boję, świadczę się stolicą,
Kiedy śmierć—śmiercią tylko, lecz nie szubienicą.

Didier.

Stryczek jedną z postaci, które ma śmierć zradna.
Zapewne, że ta chwila musi być nie ładna,
Gdy ten węzeł się gasi, jak świecę; w katuszę
Zaciska twoje gardło i wytrąca duszę!
Ale cóżto? Jeżeli noc stanie się czarna
I nie trzeba już patrzeć jak ta ziemia marna!
Czy będziesz leżeć w grobie, co cięży i sławi,
Czy wiatr nocny cię targa i z ciałem się bawi
Wachając twoim trupem, z którego już kruki
Rozniosły z szubienicy oderwane sztuki:
Cóż to ma cię obchodzić?

Saverny.

Filozof jak mało.

Didier.

Czy dziób sępa rozdziera moje martwe ciało,
Czyli robak je toczy—jak i królów w trumnie,
Rzecz to czysto cielesna; nie ma wagi u mnie.
Gdy śmierć zamknie nad nami swoje ciężkie cienie,
Duszą zlekka uchyla martwość kamienie
I ulata...
(*Wchodzi radca kryminalny; jeden halabardnik w czerni go
poprzedza, a drugi idzie za nim*).

SCENA CZWARTA.

Cią sami. RADCA KRYMINALNY, DOZORCA i STRAŻE.

Dozorca (*wprowadzając*).

Pan radca.

Radca (*klaniając się więźniom*).

Z mojego urzędu,

Który przykry mi bardzo... Prawo nie ma względu
I zmusza...

Saverny.

Al rozumiem; niech już pan dopowie.

Radca (*rozwiija pergamin i czyta*).

„My Ludwik XIII król Francyi i Nawarry, odrzucamy apellacyą, którą wyż wyrażeni na śmierć skazani, przed tron nasz zanieśli; lecz mając wzgląd na ich prośbę zmieniamy formę wykonania wyroku i postanawiamy, aby nie przez powieszenie, lecz przez ścięcie głowy utracili życie”.

Saverny (*z radością*).

Wybornie!

Radca (*klaniając się znowu*).

A więc bądźcie gotowi panowie:

To na dziś.

(*Kłania się i zabiera się do wyjścia*).

Didier (*zamyślony do p. de Saverny*).

Owóż potem, a to jest po śmierci,
Chociaż ciało rozdarte może być na ćwierci,
Chociażby każdy członek okrwawili raną;
Choćby ręce ucięto, kości połamano,
Choćby wleczono trupa przez wszystkie rynsztoki:
To z ciała shydzonego, z brudnej krwi posoki,
Wydzie jasna i cała nieśmiertelna dusza!

Radca (*powracając do Didiego*).

Przypomnieć, że to dziś jest, obowiązek zmusza.
Gotujcie się panowie.

Didier (*spokojnie*).

Al pan mi przerywa.

Saverny (*wesoło do Didiego*).

Nie ma stryczka.

Didier.

Inaczéj feta się odbywa.

Kardynał zawsze z sobą ma katowskie noże,
Jeśli ich nie użyje, to je rdza zjeść może.

Saverny.

Łaskę przyjmujesz chłodno. A ja mam przyczyny
Cieszyć się.

(Do radcy).

Bardzo wdzięczny za dobrą nowinę.

Radca.

Chciałbym był lepszą przynieść. I tylko... jedynie...

Saverny.

Przepraszam: kiedy?

Radca.

Dzisiaj, w wieczór, o godzinie

Dziwiątęj.

Didier.

Noc już będzie, jak ta w sercu mojem.

Saverny.

A szafot?

Radca,

(pokazując przyległy dziedziniec).

W tym dziedzińcu: koło niego stoim.

Sam kardynał przybędzie.

(Radca wychodzi z całą swoją świtą. Więźniowie zostają sam na sam. Dzień ma się ku schyłkowi. Widać tylko w głębi błyszczące
halabardy straży przechadzającej się przed wyłomem).

SCENA PIĄTA.

DIDIER i SAVERNY.

Didier,

(poważnie po chwili milczenia).

W tej stanowczej chwili

Warto, byśmy się z życiem trochę policzyli.

Latami między sobą jesteśmy rówieśni,

Lecz ja starszy od ciebie, bo żyłem boleśniej;

A więc mnie obowiązki położenia każą,

By ci mój głos do końca był wsparciem i strażą.

Zgubiłem cię; wyzwanie pierwszy wymówiłem.

Życie twe było szczęściem, radośnem i miłem,

Dosyć ze się dotknąłem, już byłeś skazany;

Los twój, pod moją dola runął zgruchotany.

Teraz oba idziemy przez to rusztowanie

W noc grobu. Daj mi rękę....

(słychać uderzenie młotka).

Saverny.

Cóż to za stukanie?

Didier.

Budują dla nas szafot lub zbijają trumnę.

(Saverny siada na ławce).

Często serce omdlewa przy końcu, choć dumne;

Bo jakieś dziwne wdzięki są życia anioła.

(Zegar uderza raz).

Słuchaj. Mnie się wydaje, jakiś głos nas woła...

(Zegar uderza raz drugi).

Saverny.

To godzina wybija.

(Zegar uderza raz trzeci).

Didier.

Godzina.

(Zegar uderza raz czwarty).

Saverny.

Na wieży.

(Znowu cztery uderzenia).

Didier.

Tak, bracie, ten głos wzywa, mówiąc że czas bieży.

Saverny.

Jeszcze cała godzina.

(Opiera się łokciami o stół i głowę ukrywa w dłoni. Straż zmienia się przy wyłomie).

Didier.

Strzeż się omdleń duszy!

Strzeż się potknąć na progu téj naszej katuszy!

Drzwi grobu, który prawo buduje surowo,

Niskie są i nikt przez nie nie przechodzi z głową.

Bracie! Pod ciosem kata niewzruszeni staniem;

Niech szafot drży pod nami, ale nie my na nim.

A! głów naszych żądają? Do kata przy trumnie,

Nieśmy, bracie, te głowy spokojnie i dumnie!

(Zbliża się do Savernego),

Męztwa!...

(Bierze go za ramię i spostrzega że on śpi).

Śpi!... Niech mą pychę Bóg przebaczyć raczy!

Bo i cóż moje męstwo przy jego śnie znaczy?—

(siada).

Śpij, ponieważ spać możesz! wkrótce upragniona

Chwila snu mego przyjdzie. O! niech wszystko skona!

Niech z serca nie zostanie nawet cząstka mała,
Któraby przekląć mogła, to, co tak kochała.

(Noc zapadła. Kiedy Didier coraz bardziej tonie w dumaniach, wchodzi przez włom Marya i dozorca. Dozorca idzie przed nią z latarnią i zawiniątkiem, i jedno i drugie składa na ziemi; później zbliża się ostrożnie do Maryi, która zatrzymała się w włomie blade, nie-ruchoma i bolesna).

SCENA SZÓSTA.

Ciż sami, MARYA, DOZORCA.

Dozorca *(do Maryi).*

Proszę śpieszyć, bo krótkie chwile nam zostały.
(Oddala się. Podczas całej następnej sceny przechadza się w głębi teatru).

Marya.

...Ach! Te ohydne usta mnie napiętnowały!
(Spostrzegł nagle Didiego, biegnie ku niemu z krzykiem i upada przy jego nogach).

Didier! Didier! mój Didier!

Didier,

(jakby zbudzony na stronie).

Ona, tu!...

(głośno obojętnie),

To pani?

Marya *(podnosząc oczy).*

A któżby miał być inny? Didier! my stroskani,
Ale razem przy sobie! Twe ręce jedync;
Daj mi tu twoje ręce! Jakie znaki sine!...
To kajdany... łańcuchy—tak? zbójcy, prawdziwie!
Ja tu jestem, ponieważ... Ohydnie, straszliwie!
(płacze gwałtownie).

Didier.

Czegóż pani tak płaczesz?

Marya.

Ja? Nie, o mój luby!

Ja śmieję się....

(śmieje się)

W tej chwili wyrwę cię z zaguby.
Śmieję się, bom szczęśliwa! koniec złemu!
(pochyliła głowę na kolana Didiego i płacze).

Boże!

Wszystko to mnie zabija i w sercu mam noż!

Didier.

Pani...

Marya,

(*powstaje, biegnie po zawiniątko i przynosi je Didierowi*).

O! spieszmy luby, korzystajmy z cieni.
Przebierz się; ci dwaj ludzie dawno przekupieni.
Opuscimy Bożens, lecz spieszmy, mój Boże,
Kardynał, lada chwila przybyć tutaj może;
Strzał armatni oznajmić ma jego przybycie:
Ach! nie traćmy więc czasu gdy idzie o życie.

Didier.

To dobrze.

Marya.

Prędkiej, prędkiej! wolny! Bóg jest w niebie!
Wolny! przemówże do mnie! Didier, kocham ciebie!

Didier.

Że ucieczka się uda, pani przekonana?

Marya.

Pewna jestem, o! pewna. Droga obmyślana;
Ulice są odludne; zresztą o tej porze
Chyba żebrak spóźniony napotkać nas może.
Wzmań cię za przechodnia gdy będziesz spotkany.
Jaką minę mieć będzie mój Didier przebrany?
Spieszże, spiesz.

Didier (*odtrącając nogą suknię*).

Czasu dosyć....

Marya.

Śmierć przybywa z nocą!
Uciekajmy mój drogi. Jam przyszła...

Didier.

Lecz po co?

Marya.

Mnie pytasz? mnie! Tym głosem?

Didier,

(*ze smutnym uśmiechem*).

Ach! nieszczęśni, pani,
Nieraz są dziwną myślą jakby opętani.

Marya.

Tam konie nas czekają. Spieszmy! Chwile cieką!
Wszystko mi powiesz później, gdy będziem daleko!
Spieszmy!

Didier, (*pokazując na dozorcę*).

Co to za człowiek o ponurąj twarzy?

Marya.

To dozorca,—należy do kupionój straży.
Czy wątpisz o tych ludziach? Patrzysz zamyślony....

Didier.

Nic wcale. Tylko często człowiek jest zdradzony.

Marya.

Chodź! każda chwila zwłoki, jest dla mnie konanie;
Zdaje się, słyszę tłumów ciekawych stąpanie,
Modłę cię, uciekajmy! Będziemy schwytani....

Didier (*pokazując na śpiącego p. de Saverny*).

Czy dla niego, czy dla mnie przybyłaś tu pani?

Marya (*przerażona chwilę. Później na stronie*).

Przecie Gaspar szlachetny nie szukał w tém chluby.
(*głośno*)

Czyż kochankę swą możesz pytać o to luby?
Czuję że masz żal do mnie, lecz jaki?

Didier.

Bynajmniej.

Podnieś twą głowę pani i popatrz się na mnie.

(*Marya drżąc patrzy na niego*).

Tak, podobieństwo wielkie.

Marya.

Przeczucia złowieszcze

Trapią mię. Chodź!

Didier.

Nie! W oczy popatrz mi raz jeszcze.

(*patrzy na nią badawczym wzrokiem*).

Marya (*przerażona, na stronie*).

Boże! Czyżby on dojrzał pieszczotę nikczemną!

(*głośno*)

O mój Didier, posłuchaj: skrywasz coś przedemną;

Jesteś dla mnie nie dobry. Masz jakieś cierpienie.

Ach! opowiedz mi wszystko. Często podejrzenie

Źle widzi. Później, później, człek sam siebie wini,

Kiedy skrytość do nieszczęść jakich się przyczyni.

Dawniej dzieliłam wszystkie twe myśli kochane;

Czy to wszystko już przeszło—znikło—zapomniane?

Ach! Czyś przestał mię kochać? A pamiętasz drogi?

W Blois, ten nasz pokój, taki cichy, błogi?

Jak tam było swobodnie téj naszój miłości?

Jak na progu tam milkły swar ziemi i złości?

I jeden dzień to zniszczył! Teraz cień grobowy!

Ileż razy mówiłeś płomiennemi słowy,

Żem ja twoją miłością; rządę twém istnieniem,

Że wszystko z ciebie zrobię jednym mém skinieniem!..

Lecz czyż nadużywałam téj miłosnej doli?
 Myśli twoje pełniłam, służyłam twój woli;
 A dziś pozwól mi rządzić na dziś tylko, sobą!
 Ty wiesz: w życie i na śmierć ja pójdę za tobą;
 Wszędzie, zawsze, i wiecznie, kochająca, cicha,
 W tułactwo, czy na szafot.... Ach! On mię odpycha!?
 Zostaw mi twoje ręce obie, o! choć jedną!
 Czyż kolanom twym cięży moje czoło biedne?...
 Biegłam, aby tu przybyć; patrz jak ja strudzona,
 Niktby nie chciał uwierzyć że to ja — szalona,
 Wesół dawniej — płaczę, że aż litość bierze!
 O! jeśli masz żal do mnie, to powiedz mi szczerze,
 Lecz nie odpychaj zimno nieszczęsnej kobiety!
 A! to rzecz jest bolesna, okropna, niestety,
 To milczenie, to twoje, na widok mój nędy!
 Ach! powiedz co masz do mnie? Nie. Zabij mię prędej!
 — Łzy otarłam; wiem, przykro, kiedy kto tak szlocha.
 Mam już uśmiech. Mój luby, uśmiechnij się trocha.
 Bo gdy się nie uśmiechniesz — to kochać przestanę!
 — A! te moje rozkazy wcale niespodziane,
 Wszak ja ciebie słuchałam, bądź posłuszny dzisiaj,
 Przemów! Ja twoja Marya....

Didier.

Marya, czy Marysia?

Marya (*upadając na twarz*).

Didier, bądź miłosierny!

Didier.

Wejście tu wzbronione;

Bo królewskie więzienia silnie są strzeżone,
 I bramy są żelazne, i mury wysokie,
 I straże czujne, liczne, i fosy głębokie.
 Aby wejść tu spokojna, i wolna, i śmiała,
 Powiedz, komuś się dzisiaj w zamku tym sprzedała?

Marya.

Boże! kto ci powiedział....

Didier.

Nikt. Słów nie potrzeba...

Marya.

Przysięgam ci na Boga, na świętych, na nieba,
 Gdzie wszelkie miłosierdzie i litość króluje,
 Że tylko by cię zbawić — jedynie.

Didier.

Dziękuję.

(*zakładając ręce na piersiach*).

Ha! by tak być bez duszy i taką bezwstydną,
 To prawdziwie jest hańbą — tak! hańbą ohydną!

(przebiega po scenie w uniesieniu i rozpacz).
 Gdzież kramarz tój plugawej pogardy, o! nieba!
 U którego mą głowę sromem kupić trzeba?
 Gdzież ten strażnik, ten sędzia? o! zapłacę drogo,
 Abym go mógł nadeptać i zgruchotać nogą.
 Jaktó!

(rzuca portret Maryi i rozdeptuje go).
 Jest prawo, sędzia! I sądzą z powagą;
 Ale cóż? kiedy zawsze sfałszowaną wagą
 Ma być, na waszych szalach ukutych w bezceści,
 Albo życie mężczyzny lub honor niewieści!
(do Maryi)

Wróć do niego!

Marya.

Litości! Nie depcz mię! Jam cała,
 Potracana twą wzgardą, drżąca i struchlała;
 Słowo jeszcze, i ujrysz trupem nieszczęśliwą,
 Gdy była kiedy miłość silną i prawdziwą,
 To ta może! Nad siły, jeśli kochać można,
 Ja ciebie tak kochałam.....

Didier.

Milcz! ach! milcz, bezbożna!

Marya.

Ach!

Didier.

Śmiałaś się, gdyby widzieć ci wypadło,
 Jak cię miało me serce, to głupie zwierciadło!
 Dobrze żeś je strzaskała w kawały i skazy!
 Stałaś w niem tak niewinna, przeczysta, bez zmayı....
 Kobieto! Czemuś była szatańską, przekłątą,
 Temu, który cię kochał, klęcząc, jak przed świętą?

Dozorca.

Czas uchodzi.

Marya.

Godzina upływa swobodna.
 Wiem, że mówić do ciebie, Didier, jam niegodna;
 Mnie nic się nie należy, czuję to, prawdziwie;
 Odepchnąłeś mię, przeklął, luby, sprawiedliwie;
 Zasłużyłam na więcej nędzna i skalana;
 Ty litośny i ciebie ma dusza złamana
 Błogosławi! Lecz ręka kata wyciągnięta;
 Tyś już o nim zapomniął; ale on — pamięta.
 Wszystko przygotowane. Uciekaj... Kobięcie
 Nie odmawiaj. Wiesz dobrze czém płacę twe życie!
 Odepchnij mię i porzuć śród hańby i zguby,
 Zdepcz mię i potrac nogą — lecz uciekaj, luby!

Didier.

Uciekać? Nikt mi straszny nie jest na tym świecie,
Tylko ty — więc uciekam: grób głęboki przecie.

Dozorca.

Czas uchodzi.

Marya.

Uciekaj!

Didier.

Nie chcę być zbrukany.

Marya.

Widzieć ciebie schwyconym, widzieć cię związanym,
Widzieć cię — nie! myśl sama zabija mię trwogą.
Chodź, chodź — uciekaj Didier! Nadejść wkrótce mogą.
Wszystko co tylko każesz, jak każesz — ja zrobię.
O! uciekaj, chodź luby! Będę sługą tobie!
Weź mię grzechem splamioną i zalaną łzami,
Choć na to, byś miał deptać kogo pod nogami!
Ta którąś w lubych czasach nazywał królową,
Żoną....

Didier.

Żoną!?

(słysząc w oddaleniu strzał armatni).

Ha! strzał ten robi ciebie wdową!

Marya.

Didier!

Dozorca.

Już czas przeszedł.

(Odgłos bębnow. Wchodzi Radca sądów królewskich w towarzystwie zakonników niosących pochodnie. Za nimi idzie kat, później wojsko i lud w liczнім zbiegowisku).

Marya.

Ach!

SCENA SIÓDMA.

Ciż sami. RADCA. KAT. LUD. WOJSKO.

Radca.

Panowie: godzina!

Marya *(do Didiego)*.

Ach! mówiłam, mówiłam: kat nie zapomina!

Didier (*do radcy*).

My, jesteśmy gotowi.

Radca.

Który tu jest z panów

Gaspar Saverny?

(*Didier pokazuje na uspiętego p. de Saverny.*
(*do katu*).

Zbudź go.

Kat (*poruszając p. de Saverny*).

A, do stu szatanów,

Jak śpi!? No! panie! panie!

Saverny (*przecierając oczy*).

A! śniłem tak mile!

I wydarli mi sen mój. ..

Didier.

Przerwali na chwilę.

Saverny (*sposstrzegając Maryę*).

Właśnie, śniłem o pani.

Radca.

Na wieczności progu,

Czyście już polecili wasze dusze Bogu?

Saverny.

Już, panie.

Radca (*podając mu pergamin*).

Trza podpisać. Jest to pańska sprawa.

Saverny (*przebiegając pismo okiem*).

Detale egzekucyi. Rzec dosyć ciekawa,
Że mój podpis zatwierdzi śmierci méj spisanie.

(*podpisuje i znowu przebiega oczami pismo, do pisarza*).

Trzy omyłki w pisowni uczyniłeś panie.

(*bierze pióro i poprawia; do kata*).

Zbudziłeś mię na chwilę, lecz uspisz na wieki.

Radca (*do Didiego, dając mu pióro*).

Teraz, niech pan podpisze.

Marya

(*jak obłąkana powtarza za p. de Saverny*).

Na wieki! na wieki!

Didier (*podpisując*).

Wyroku! Moje serce czci ciebie i kocha!

(*strąca się szykując, tłum się ciśnie*).

Saverny (*do kogoś z tłumy*).

Ustąp pan, by to dziecię mogło widzieć trocha.

Didier (*do p. de Saverny*).

Bracie! Przemennie idziesz na tę drogę ciemną:
Uściśnijmy się jeszcze.

(*ściskają się z p. de Saverny*).

Marya (*biegnie do Didier*).

A ze mną? A ze mną?

A mnie uścisk, mój Didier!

Didier (*pokazując na p. de Saverny*).

To mój brat jest przecie.

Marya.

A! za co twoje słowo mię nieszczęsną gniecie?
Dziś tyle na kolanach okryta żałobą,
Błagam wszystkich za ciebie, a ciebie za sobą.

Didier (*rzuca się ku Maryi*).

Nie, nie, serce złamane, w duszy bole srogie!
Za nadto cię kochałem; i teraz nie mogę
Obojętnie porzucić! Nie! Tylko bluźnierce
Mogą mieć pierś z kamienia, kiedy płacze serce!
Chodź — pójdz w objęcia moje.

(*ściska ją w objęciach*).

Kocham cię! Umieram!

Kocham! I gdy to mówię, z nieba się wydzieram.

Marya.

Didier!

Didier (*tuląc ją do siebie*).

Moja jedyna!

(*Do otaczających*).

A! Powiedźcie sami,

Czy choć jeden się znajdzie tu pomiędzy wami,
Któryby nie pożegnał serca uściśnieniem,
Tój, co mu była ciągle tylko poświęceniem?!
Grzeszyłem! o! grzeszyłem! Czyż mogę niestety,
Bez przebaczenia umrzeć w oczach tój kobiety?

(*Do Maryi*).

O! niech ci wszystko powiem! Na całej tój ziemi,
Ta, co była wszystkimi myślami mojemu,
Ta, co jest moja wiara i miłość ma jedna,
Ta, którą tak ubóstwiam, to ty, — moja biedna!
Tak! Boś była litośna, dobra, kochająca!
O! wierz mi: życie moje o grób się roztrąca.
Umieram! Śmierć przynosi nieznane jasności:
Czuje, że mię zdradziłaś przez nadmiar miłości!
A za ten twój upadek czyś nie dość skarana?
Może przez własną matkę byłaś zapomniana,
Jak ja? O biedne dziecko! Młodą, czystą, białą,
Może sprzedano ciebie? Wznies czoło! Patrz śmiało!

(Do obecnych).

A wy wszyscy słuchajcie! W tej chwili, gdy ziemia
Zaciera się w pomroku, śmierć fałszywe ocienia;
A prawda jest na uściech; z rusztowania szczytów,
A gdy niewinny na niem — ono wśród błękitów,
Mówię: Maryo, aniele, którą tu skażono,
Moje szczęście najwyższe, kochanko i żono,
W imię Boga, miłości, wiary i nadziei,
Przebaczam ci!

Marya *(we łzach).*

O! Boże!

Didier.

Teraz ty — z kolei,

(Kłęk przed nią).

Przebacz mi!

Marya.

Mój szlachetny!

Didier *(klęcząc).*

Przebacz, archaniele!

Byłem zły. Jeśli cierpię boleśnie i wiele,
Jam winien! A ty płaczesz, ty płaczesz mój doli?
Być przyczyną twych nieszczęść, to okropnie boli!
Pociesz mię, przebacząc nędznemu przy skonie.

Marya.

Ach!

Didier.

Rzeknij słowo! Połóż na czoło swe dłonie!
Milczysz? Gdy mowę wiąże ta okropna próba,
Skiń ku mnie... już umieram, o! pociesz mię luba!
*(Marya kładąc swe ręce na czoło. On powstaje, przyciska ją do
piersi i uśmiecha się z niewymowną błogością).*
Tam, kiedyś!...

(Do straży).

Gotów jestem.

Marya *(między nim i strażą).*

A! to być nie może!

Zabić cię? Zapomnieli, że ja tu! Mój Boże!
Panowie! miejcie litość! Patrzcie, jak się męczę!
Jak was błagać potrzeba? na klęczkach? Już klęczę!
A teraz, jeśli macie uczucie w swęj duszy,
Które na głos błagalny litośnie się wzruszy,
Jeśli Bóg wam przekleństwem nie naznaczył czoła,
Nie zabijajcie jego!...

(Do tłumu).

Wy wszyscy — dokoła,

Gdy każdy z was do domu powróci strudzony;

Zastaniecie tam matki, siostry, córki, żony,
Które wam mówić będą: téj straszliwej zbrodni,
Wszak mogliście przeszkodzić? Jesteście niegodni!
— Didier! Przecie im znana méj miłości siła?
Nie mogą ciebie zabić, gdy chcą abym żyła!

Didier.

Pozwól umrzeć mi luba! Próżno przyszłość roić!
Rana ciężka, kochanko! Trudno ją zagoić!
Lepiej, że dziś umieram. Dziś krótsze rozpaczę,
Ale jeżeli kiedy, — patrzaj jak ja płaczę, —
Piękniejszy, lub szczęśliwszy serce odda tobie,
To pomnij na kochanka, który leży w grobie!

Marya.

Nie! Życ musisz! Ja płaczę, ja ufam w pokorze:
Życ będziesz!..

Didier.

O! nie, moja! To już być nie może,
Przyzwyczajaj myśl twoją do grobu zamroczy.
Ukochasz mię gorącą, kiedy zamknę oczy;
Będę mieć w twój pamięci miejsce ciche — święte.
Ale żyć tu przy tobie, gdzie wszystko przekłętę,
To niepodobna, luba! Kochając cię szczerze,
Kochając cię, a przytém — ach! to litość bierze
Co dnia lzy ci wyciskać? Nie! To niepodobna!
O rzeczach już minionych przyjdzie myśl żałobna.
Będę zdawał się wątpić, nieufnie spojierać;
Ty będziesz nieszczęśliwą!.. Pozwól mi umierać!

Radca (do Maryi).

Za chwilę ujrzyś pani tutaj kardynała,
Możebyś jego jeszcze prośbą ubłagała?

Marya.

Kardynał, ach! to prawda! Ach! To ma otucha!
Zobaczycie, panowie, że on mię wysłucha.
O! ja jemu opowiem to całe męczeństwo.
Mój Didier! Czyż być może? a! to nie szaleństwo,
By ten dobry kardynał, starzec, — i nie raczył
Przebaczyć ci? Wszak przecie tyś sam mi przebaczył!

(Dziewiąta godzina wybija. Didier daje znak milczenia. Marya
wysłuchuje się w uderzenia zegara z przerażeniem. Po dziewiątém
uderzeniu Didier opiera się na p. de Savernym).

Didier (do otaczających).

Wy, którzyście tu przyszli, patrzeć jak z téj ziemi
Ochodzą, bądźcie w czasie świadkami naszymi:

Żeśmy oba nie bledli, kiedy ta godzina
Wydzwaniała nam wieczność.

(Do Maryi).

Tam, w niebie, jedyna!

(Strzał armatni z wieży. Zasłona czarna okrywająca wyłom opada. Pokazuje się olbrzymia lektyka kardynała, niesiona przez 24 żołnierzy pieszych, otoczona takąż liczbą straży, uzbrojonej w halabardy i pochodnie. Lektyka jest obita szkarłatem, na którym widać herby domu de Richelieu. Firanki lektyki zamknięte, przesuwają się ona z wolna w głębi sceny. Szmer w tłumie).

Marya

(czołga się na kolanach ku lektyce i załamując ręce):

Ach! Na imię Chrystusa, na mocy twój blaski,
Na ród twój cię zaklinam:—łaski!

Głos z lektyki.

Nie ma łaski!

(Marya upada na bruk. Lektyka przesuwają się, a więźniowie, strażnicy wychodzą za nią. Lud tłumnie wybiega w ich ślady).

Marya (sama).

(Podnosi się trochę po chwili i czołga się oglądając się na wszystkie strony).

Co rzekł on?... Gdzie są oni?... Didier!... Nie ma!.. Nie ma!...

Pusto... A lud ten cały?... Czy to sen mię trzyma?...
Czy to szal mię ogarnął, .. sen mordem plugawym?...

(Wraca lud w nieładzie. Za nim pokazuje się w głębi sceny lektyka czerwona kardynała. Marya zrywa się jak obłąkana, z okropnym krzykiem).

A!.., Wraca!...

(Pokazując palcem ludowi lektykę):

Patrzcie wszyscy! Oto człowiek krwawy!

(Upada bez czucia).

